Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

50 GR

WIEM WSZYSTKO

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 21 Warszawa, Niedziela 14 czerwca 1936 r. Rok I

REPORTAŻ KOSZMARNY

Tragiczna golgota Marji Pyzelowej

Wbrew zwyczajowi rozpoczynamy niniejszy artykuł, a ściślej reportaż bez jakichkolwiek wstępów. Wstrząsające tło, koszmarne narastanie coraz to nowych, coraz bardziej nieprawdopodobnych, a jednak prawdziwych faktów, przekreślają radykalnie konieczność posługiwania się jakiemikolwiek omówieniami czy frazeologicznym balastem.

TRAGICZNA DECYZJA

W roku 1929, wówczas **27-letnia nauczycielka państwowego seminarjum nauczycielskiego w Suwałkach,** żona zaginionego w sowieckiej zawierusze Jana Downar - Zapolskiego — **Marja z Kupieckich,** córka aktorskiego, może nieco przewrażliwionego, ale nawskroś uczciwego małżeństwa, za radą lekarza, wyjechała na miesięczny urlop do Kossowa.

Marja Zapolska cierpiała na gruźlicę i kuracja w sławnym zakładzie dr. Tarnawskiego miała przywrócić jej zdrowie, którego brak dawał się dokuczliwie we znaki.

Młoda, bardzo inteligentna, wykształcona (ukończona humanistyka na uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie) i przystojna nauczycielka, **spędzała urlop wypoczynkowo-zdrowotny naogół przyjemnie,** aczkolwiek lato kończyło się już i zakład kossowski z dnia na dzień coraz bardziej pustoszał.

Kiedy wreszcie wyjechali już wszyscy kuracjusze, Marja Zapolska, pozostała, uproszona przez dr. Tarnawskiego **aby zechciała uporządkować jego prace naukowe.**

W willi, w której mieszkała młoda nauczycielka, jedynym spółlokatorem był pracownik administracji zakładowej, starszy o cztery lata od Marji Downar - Zapolskiej **Feliks Pyzel, wywodzący się z chłopskiej rodziny z Powsina pod Wilanowem.**

Między dwojgiem młodych ludzi zamieszkałych w opustoszałym Kossowie nawiązał się romans. Zapolska nie wraca do Suwałk, skąd co pewien czas nadchodzą listy z dyrekcji seminarjum z zapytaniem kiedy przystąpi znów do pracy. Listy te zostają bez odpowiedzi, a po parumiesięcznem pożyciu z Pyzlem, **młoda nauczycielka stwierdza, że jest w ciąży.**

PODWÓJNE ŻYCIE FELIKSA PYZLA

W międzyczasie Pyzel, który poza funkcją pracownika administracji zakładu kossowskiego żyje jeszcze drugiem życiem tajemniczego okultysty, „brata" należącego do mgławicowej organizacji istniejącej w Warszawie **pod mianem Polskiego Instytutu Odrodzenia i w związku z tem kolportuje jakieś książki i broszury międzynarodowej organizacji Mazdazdan,** a także sprzedaje tajemnicze proszki, mające przyczynić się do... uszlachetnienia ducha ludzkiego, traci posadę w Kossowie i przenosi się na podobne stanowisko pracownika administracji zakładu w Nałęczowie.

Tu już, Zapolska obserwując swego spółtowarzysza życia, stwierdza, że oficjalne posady jego, zresztą stwierdzające dość znośne dlań warunki egzystencji, są w gruncie rzeczy tylko płaszczykiem, pod którym Pyzel z zapałem uprawia tajemnicze praktyki wedle wskazań **mistrza Mazdazdanu, stale zamieszkałego w Los Angeles dr. Zaratustry Hanisch'a, którego zastępczynią na terenie polskiej filji Mazdazdanu, t. j. Instytutu Odrodzenia jest dr. Marja Betcherówna,** zamieszkała w Warszawie przy ul. Wspólnej. Ze wspomnianą Betcherówną, Pyzel utrzymuje stały i ścisły kontakt, nawet wtedy, kiedy decyduje się, aby dać dziecku, które ma przyjść na świat, nazwisko **i żeni się w kościele kalwińskim z Marją z Kupieckich, 1-o voto Downar - Zapolską.** Tu godzi się wspomnieć, że p. Pyzlowa ma z pierwszego małżeństwa dwoje dzieci, przyczem córka pozostała w Rosji i matka straciła z nią wszelki kontakt, zaś syn pozostaje przy niej.

ZACZADZIAŁA ATMOSFERA

Już od pierwszch dni zetknięcia się z Pyzlem, przyszła żona jego, odczuwa dziwnie deprymujący wpływ jaki człowiek ten na nią wywiera. Urasta to do niebywałych rozmiarów, gdy łączy się z nim węzłem małżeńskim. Dopiero bowiem wtedy wychodzi na jaw dwuwymiarowość życia Pyzla, jego dziwaczne nastawienie do życia i żony, **której właściwie nie kocha, a która jest dlań czemś w rodzaju zwierzęcia przeznaczonego do wiwisekcyj.**

I oto między tym dwojgiem ludzi, warstwami zaczyna narastać wzajemne niezrozumienie, które coraz bardziej przeradza się w nienawiść, tem silniejszą u kobiety, że widzi ona, iż stała się narzędziem w ręku człowieka, którego bardzo łagodnie możnaby określić mianem... dziwaka. Bo oto już w Nałęczowie Pyzel, **wynająwszy mały domek na odludziu, nie pozwala żonie opuszczać jego progów, nie pozwala jej przychodzić do parku zakładowego, głodzi ją, każąc kontentować się pożywieniem składającem się z tartej surowej marchwi, buraków czy szpinaku. Każdy odruch protestu spotyka się z nader radykalnemi represjami.** Pozatem Feliks Pyzel prowadzi w Nałączowie **drugi jeszcze dom, w którym jak głosi usłużna plotka, mimo wszystko przeciskająca się do uszu Marji Pyzelowej, odbywają się jakieś tajemnicze seanse, w których udział biorą głównie kobiety, że seanse te kończą się z reguły jakiemiś orgjastycznemi wyczynami, etc.**

Pyzlowa przygląda się temu wszystkiemu z niedowierzaniem, coraz częściej stwierdza u siebie niepokojące zawroty głowy, zniechęceni do życia, wręcz tragicznego w tych warunkach. Pisze pod wpływem tych przeżyć listy do swych koleżanek z szkolnych czasów, prosi je o pomoc materjalną, bowiem **mąż zupełnie nie daje jej pieniędzy, a kiedy jedna z tych koleżanek kpt. Korolcowa przesyła Pyzlowej 200 zł., Pyzel pieniądze te przywłaszcza sobie, przyczem w Zakładzie nałęczowskim, gdzie pracuje, zapytywany dlaczego nigdzie nie pokazuje się z żoną, odpowiada, że żona jego jest... poważnie umysłowo chora i zmuszony jest trzymać ją w zamknięciu...**

JAŚNIEJSZY PRZEBŁYSK

Przypadek sprawia, że Pyzelowa w Nałęczowie spotyka się z przebywającą tam na kuracji baron. Heinzlową, koleżanką z czasów szkolnych, której zwierza się z przykrych konsekwencyj swego „fałszywego kroku". Baronowa, poruszona do głębi, **proponuje Pyzlowej, aby porzuciła męża** i pojechała razem z nią do majątku Heinzlów pod Łodzią. Niestety, fatalny czad, unoszący się nad spółżyciem młodej kobiety z Pyzlem, niepozwala jej w porę wyrwać się z tragicznej rzeczywistości.

Baronowa chcąc dopomódz w jakiś sposób swej dawnej koleżance, wyrabia jej, mimo sprzeciwów Pyzla posadę kontrolerki w zakładzie nałączowskim. Jest na tej posadzie Marja Pyzelowa tak długo, jak długo w Nałęczowie pozostaje bar. Heinzlowa. Następnego dnia po wyjeździe, gdy Pyzelowa, jak zwykle przychodzi do koncelarji zakładu do pracy, **mąż rzuca się na nią, policzkuje, a kiedy kobieta wybucha spazmatycznym płaczem, wykorzystuje to jako dowód... umysłowej choroby żony i każe służbie zakładowej nie wpuszczać Pyzelowej na teren zakładu.**

Maltretowana kobieta postanawia uciec od swego męża.

UCIECZKA

W Warszawie zwraca się Marja Pyzelowa do znajomej z Mińska Lit. z czasów szkolnych, **obecnej gener. Rayskiej,** która przedewszystkiem lokuje na koszt wydziału opieki społecznej Kom. Rządu syna Pyzelowej z 1-go małżeństwa w internacie „Nasz Dom", a następnie samej Pyzlowej wyrabia posadę zarządzającej kasynem oficerskim przy szkole gazowej na Marymoncie. Pyzelowa nie chcąc wtajemniczać obcych w bezmierny tragizm swych przeżyć, nie mówi ani gen. Rayskiej, ani nikomu innemu, że wyszła po raz drugi zamąż i zmuszona była uciec od męża, udaje jej się to tembardziej, że córeczka z drugiego małżeństwa pozostała w Nałęczowie.

W szkole gazowej, zdobywa sobie Marja Pyzelowa ogólną sympatję, gdy oto któregoś dnia **zjawia się u niej... małżonek i pozostaje z nieszczęśliwą kobietą przez 2 tygodnie,** które stają się dla niej jednem pasmem udręk i rozpaczy. Pyzel bowiem domaga się pieniędzy, gdy ich nie dostaje — awanturuje się, bądź chwyta śpiące na stole bilardowym (w kasynie nie było dla Pyzelowej specjalnego pomieszczenia, musiała więc sypiać w sali bilardowej na polowem łóżku W tejże sali bilardowej zamieszkał również Pyzel) dziecko, owija je w kołdrę i wybiega na mróz. Pozatem, jak zaznaczyliśmy wyżej. Pyzelowa nikomu w kasynie nie mówiła, że jest powtórnie zamężna, więc obecność, zwłaszcza na terenie objektu wojskowego, obcego mężczyzny, który stale awanturuje się z zarządzającą kasyna, mimo całej sympatji dla niej, **jest niezbyt przychylnie komentowana.**

DOBRZY LUDZIE

Kurs gazowniczy kończy się. Pyzelowa traci posadę i znów przygarnia ją gen. Rayska, a gdy dowiaduje się, że Pyzelowa ma drugiego męża i jest on bez pracy, **wyrabia mu posadę na wyścigach.** Pyzel zawiadomiony o tem listownie przez uradowaną żonę, również listownie odmawia, ale w takiej formie, że list, który przypadkiem trafił do rąk generałowej, radykalnie zmienia jej życzliwy stosunek do małżeństwa Pyzlów. Nie przeszkadza to generałowej, że stara się dla Pyzelowej, która w międzyczasie, niechcąc być ciężarem dla p. Rayskiej, przenosi się do męża zamieszkałego z córeczką w Milanówku, **o pasadę w P. K. O..**

Starania zostają uwieńczone pomyślnym skutkiem o czem zawiadamia Pyzelową jej dawna koleżanka prof. Kotarbińska, niestety — nieszczęśliwa kobieta **niemoże objąć posady w P. K. O., bowiem mąż, w przystępie złości rozbił jej głowę,** tak, że musiała przez trzy tygodnie pozostawać w łóżku.

MIESZKANIE U DR. BETHER

Nie chcąc z jemu tylko wiadomych powodów mieszkać z młodą, przystojną i miłą żoną, Pyzel umieszcza ją u swej dobrej znajomej, wspomnianej prezeski Polskiego Instytutu Odrodzenia dr. Betherówny.

Betherówna, chętnie posługująca się tytułem doktorskim, **ma z medycyną b. mało spólnego, pochłania ją bowiem nietylko praca w Instytucie Odrodzenia, o którym przy okazji obszerniej napiszemy, ale szereg innych zajęć, które mają bardzo mało spólnego już nietylko z medycyną, ale również ze wspomnianym instytutem.**

W „pracach" tych sekundują jej dość niewyraźnie postaci, jak np. małżonka odsiadującego karę więzienia za prowadzenie domu schadzek Wiktora Meleniewskiego, niejaki Bucholc, właścicielka hotelu „Rosja" Rozenthalowa i in.

Pyzlowa, w tem środowisku osób zupełnie jej obcych, grawitujących wokół jakichś mgławicowych interesów i kombinacyj, czuje się wręcz fatalnie, to też z ustęsknieniem myśli o nadchodzącem rozwiązaniu, które ma przebyć w prywatnej lecznicy, dzięki pomocy przyjaciół i znajomych z Wilna, a także dzięki sprzedaży różnych mebli z mieszkania zlikwidowanego w Suwałkach.

ŻONA — WARJATKA!

Niestety, zamiast do prywatnej lecznicy, Betherówna wraz z Pyzlem przewozi Pyzelową do zakładu św. Zofji przy ul. Karowej. Jednocześnie, Pyzel zgłasza się do komisarjatu policji przy ul. Poznańskiej i **składa tam oświadczenie, że żona jego jest umysłowo chorą, że umieścił ją u dr. Betherówny, pod opieką, wyżej wspomnianej Maleniewskiej.**

O Pyzelowej nie zapominają jednak znajomi i przyjaciele. Do szpitala św. Zofji przesyłają jej z Wilna **walizkę z różnemi drobiazgami oraz 500 zł.** Troskliwy mąż dowiedziawszy się o tem, poprostu przywłaszcza sobie przesyłkę, a gdy zarząd szpitala wzywa policję i każe złodzieja aresztować, wściekły, przypuszczając, że aresztowanie nastąpiło na skutek skargi żony, **rzuca się na chorą, zaczyna ją bić, zrzuca kobietę z łóżka.** Pyzlowa, która jest po ciężkim porodzie dostaje silnego krwotoku i cudem tylko udaje się utrzymać ją przy życiu.

Pyzla, który zobowiązuje się do zwrotu przywłaszczonych pieniędzy, zwalniają z aresztu, a po kilku tygodniach opuszcza szpital z dzieckiem, bez grosza przy duszy, bo częścią tylko zwróconych przez Pyzla pieniędzy, trzeba było opłacić szpital, Pyzlowa.

BEZ DACHU NAD GŁOWĄ

Puka do mieszkania Betherówny, u której odnajmowała pokój i tu dowiaduje się, że pokój ten, w czasie jej nieobecności, **mimo iż był zapłacony za parę miesięcy zgóry, został wynajęty komu innemu, zaś meble i rzeczy Pyzelowej, które w pokoju tym, nota bene zamkniętym, pozostały — zniknęły.** Również Betherówna ulokowała pod nieobecność Pyzelowej jej pierwsze dziecko w przytułku kalwińskim.

Pyzelowa biegnie do komisarjatu. Kierownik po wysłuchaniu tragicznej skargi, każe wprowadzić nieszczęśliwą kobietę do słusznie jej należnego pokoju. Niestety, **dziwnym zbiegiem okoliczności dzielnicowy, któremu tę sprawę polecono do załatwienia, stwierdza, że w mieszkaniu dr. Betherówny niema nikogo,** wszyscy wyjechali i wobec tego Marja Pyzelowa pozostaje z niemowlęciem na bruku. A kończy się właśnie jesień, zbliża się ostra zima 1932 roku.

MĄŻ I... PRZYTUŁEK

Jak spod ziemi zjawia się „troskliwy" mąż i chwiejącą się na nogach, krwawiącą jeszcze żonę przewozi dorożką **do... przytułku dla bezdomnych dziewcząt przy ul. Wawelskiej. W przytułku tym niema miejsca wolnego, więc schorowaną, rogorączkowaną Pyzelową lokują na słomie w zimnym kurytarzu...** Nic to, że gorączka sięga 40 stopni, nic to, że Marja Pyzelowa jest w warunkach najgorszej nędzarki, dr. Betherówna, która łaskawie zjawia się w przytułku, uświadamia kierowniczkę, że młoda kobieta **jest chora umysłowo, że właściwie nic jej nie jest, a wysoka gorączka jest gorączką nerwową...** kiedy jednak mimo pocieszających zapewnień stan zdrowia Pyzelowej staje się coraz groźniejszy, wystraszona dr. Betherówna przewozi skolei chorą **do szpitala... tyfusowego,** noworodek zaś pozostaje w przytułku na Wawelskiej.

NA ULICY

W szpitalu, Pyzelowa leży na ogólnej sali z kobietami choremi na tyfus, mimo to jednak daje jej się ustrzec od strasznej choroby i po 2 miesięcznym pobycie opuszcza mury szpitalne, by znaleźć się, **podczas najostrzejszej zimy dosłownie na ulicy. Sypia to na dworcu, to w bramach czy jakiś budujących się domostwach. Piersi, wezbrane pokarmem dla dziecka, które pozostało w przytułku, sprawiają jej okrutne cierpienie. Niema możności umycia się, niema możności chociażby uzyskania najmarniejszego jadła. Znajomi, których spotyka na ulicy, jeśli nawet poznają ją, widząc w jakim znajduje się stanie, a jednocześnie słysząc już o tendencyjnie przez Pyzla i Betherównę rozpouszczonych plotkach, że jest chora umysłowo uciekają od niej.** Niema dla niej również miejsca w ochronie kobiet przy ul. Mazowieckiej. Kierowniczka schroniska przy ul. Wawelskiej, uprzednio powiadomiona przez dr. Betcherównę o tem, że Pyzelowa jest umysłowo chora, nie chce jej także przyjąć.

Nieszczęśliwa stara się zdobyć adres męża. Nikt nie chce jej powiedzieć, a gdy wreszcie trafia do niego, do Milanówka, Pyzel, ucieka, a gospodarz domu przy ul. Podleśnej 5, **za radą lokatora, wyrzuca „warjatkę" za drzwi.**

WRESZCIE WŁASNY KĄT

W kwietniu, cudem zostaje przygarnięta przez żonę prof. Pikiela, u której otrzymuje własny kąt, jedzenie i kilkadziesiąt złotych, wzamian za czynności gospodarskie. Nareszcie „warjatka" oddycha. Ma na czem spać, może się myć, ma co jeść! Wierzy, że teraz wszystko się odmieni. Któregoś dnia, gdy przechodzi ulicą, niespodziewanie, bez żadnych **istotnych powodów aresztuje ją policjant.** Przetrzymują aresztowaną całą noc w komisarjacie, a następnego dnia prowadzą ją do mieszkania pp. Pikielów, którym komunikują, że Pyzelowa została aresztowana za kradzież, podczas rewizji bowiem **znaleziono przy niej 2 obrączki złote, brylantowy pierścionek i 45 zł. w gotówce.** Tu trzeba zaznaczyć, że będąc u p. Pikielów, Marja Pyzelowa, chcąc znaleźć sobie jakąś pracę, znów nawiązała kontakt ze znajomymi, którzy w miarę możności starali się dopomóc jej. Z uzyskanych w ten sposób pieniędzy, wykupiła zastawione w swoim czasie w lombardzie kosztowniejsze drobnostki. Nie przeszkadza to, że policjant **przewozi Pyzelową**

(Dokończenie na str. 2-ej).

CZERWONO-BIAŁY LWÓW

»Bardzo przyjemne miasto« bez maski

— Niech pan odrzuci wszelkie sugestje i dotrze do samego dna, do istoty sytuacji. Chcę by pan napisał szczerą, suchą, objektywną prawdę o Lwowie — samą prawdę — tak brzmiały ostatnie słowa redaktora „Wiem Wszystko“, gdy wsiadałem do pociągu pośpiesznego Warszawa — Lwów.

Postanowiłem jaknajściślej zastosować się do danego pocenia.

GRANATOWI GOŚCIE

„Miasto rozśpiewanych słów“ tonie w zieleni i słońcu. — Na ulicach roją się tłumy i tłumy okupują każdy wolny stolik w kawiarniach, ławki w parku Stryjskim, na ulicy Legjonów, w ogrodzie jezuickim i na Wysokim Zamku...

Napozór, nic nie świadczy o tem, że przed kilkunastu dniami przez miasto przeszła krwawa zawierucha. — Nic, oprócz... strzaskanych szyldów, nie wprawionych dotąd szyb, pozrywanych buazerji w wystawach i... uderzającej liczby policji.

W stalowych, sturmowych kaskach, z bagnetami na karabinach, z torbą łzawiących granatów i maską gazową przy boku — snują się ulicami po dwóch, po trzech... patrolują na rogach, czuwają w alejach Stryjskiego parku i wartują na Wałach Hetmańskich... Wyrastają zza każdego węgła, stoją przy każdym przystanku tramwajów, miarowym krokiem przemierzając najgłówniejsze arterje miasta.

Nie próbujcie ich pytać o jakąś ulicę, plac, czy sposób komunikacji — spotkacie się ze stereotypową odpowiedzią: „Ja nie tutejszy— ja z Warszawy“. Na naramiennikach błyszczą srebrnym haftem inicjały „K .G.“ — Komenda Główna. —

Ci „granatowi goście“ nie pozwalają zapomnieć ani przez jedną chwilę, że stosy cegieł i symetryczne pryzmy brukowców, zalegające ulice — zaledwie ostygły od miotających je rąk, że poza studjującymi dzienniki w kawiarniach emerytami i rozflirtowanemi parkami w zakamarkach zielonych plantów i ogrodowych alei — tkwi nieustępliwy Lwi gród... barykad i rewolwerowych salw.

PACJENCI KULPARKOWA

Tuż za miastem, o niespełna kilometr od wylotu arterji „29 listopada“ i końcowego przystanku „czwórki“ u wejścia do wsi Kulparków, w olbrzymim, otoczonym ogrodzonymi polami, parku, znajduje się Zakład dla umysłowo chorych — największy w Polsce.

W otoczonych murem jego pawilonach przebywają nietylko chorzy skierowani tam przez gminy i szpitale, ale i **ci, w stosunku do których stwierdzono podczas rozprawy sądowej zmniejszoną poczytalność i którym, wskutek tego sąd karę więzienia zamienił na odpowiednio długi pobyt w Kulparkowie.**

Po wygaśnięciu terminu kary ludzie ci wychodzą z Zakładu wyleczeni, lub raczej... podleczeni.

I oto po aresztowaniach w związku z tragicznemi zajściami, okazało się, że wielu uczestników tych zajść, to... ex - pacjenci Kulparkowa.

Komentarze są tu zbyteczne. — Zresztą... można się ich nasłuchać aż za wiele w kawiarniach, domach prywatnych, na placach i ulicach.

CZERWONE PLAKATY I...

Na płotach, parkanach i rogach ulic, na murze kamienicy w Rynku, gdzie mieści się Związek transportowców — wiszą czerwone plakaty. — Czarnymi literami krzyczą one o strajku, wyjaśniają jego powody...

Nad plakatami, małe czerwone karteczki — nekrologi zmarłego po zajściach członka związku, 28-letniego żyda. **Tekst w trzech językach: polskim, żydowskim, ukraińskim.**

Nikt tych plakatów nie zrywa, ale nikt też i nie czyta... Wiszą sobie spokojnie i krzyczą w pustkę czerwonemi płachtami papieru.

Dawniej, przed paru dniami jeszcze, gromadzili się przed nimi ludzie, dyskutowali, spierali się — dziś mijają je obojętnie, szybko, jakby ta czerwień ich raziła... Dlaczego?

...CZERWONE PŁACHTY

Na pysznej kolumnadzie uniwersytetu Jana Kazimierza — białymi plamami świeci odpadły tynk, osypany mur, głębokie zadry i dziury — to ślady kul ukraińskich z 1918 roku.

Co roku maluje się i odnawia fronton uniwersytetu i co rok **pieczołowicie uważa by nie zamalować przypadkiem tych śladów.**

Od siedemnastu lat zraniona kolumnada przypomina lwowianom bohaterski bój o polskość Lwiego Grodu. — I od siedemnastu lat niema Polaka, któryby przechodząc koło uniwersytetu nie spojrzał na te ślady. — I od siedemnastu lat silniej zaciskają się usta przechodzących i oczy mętnieją i tężeją jak stal....

Od lat siedemnastu ten widok działa, jak czerwona płachta na polski Lwów bez różnicy przekonań politycznych i klasowej przynależności.

I tu, w tej poszarpanej kulami kolumnadzie znajduje się odpowiedź na postawione przez nas pytanie. — **Lwów już ostygł w swym czerwonym zapale — wyleczyła go z tego... czerwona Warszawa — szybko, radykalnie i — zdaje się na długo.** Powinna zato otrzymać medal od... policji, honorową odznakę ...wydziału bezpieczeństwa publicznego! —

Czego nie dokonały perswazje, prtraktacje i apele, do czego nie doprowadziły szarże, salwy i masowe aresztowania — to sprawił jeden, jedyny zjazd — „pracowników Kultury“.

GROM Z JASNEGO NIEBA

Nie jest ważne, że na zjeździe tym — urządzonym na dymiącym jeszcze pobojowisku, wśród nie zmytych jeszcze z bruków plam zaskrzepłej krwi, wśród ziejących wybitemi szybami okien i potrzaskanych wystaw — śpiewano Międzynarodówkę...

Ani to, że wybrano honorowym przewodniczącym — Maksyma Gorkiego...

Ani — (co jest już zupełnie obojętne) — czy akademik Rzymowski przeforsował swym wpływem oddanie zjazdowi sali teatru miejskiego...

Ani to wreszcie, czy zjazd ten reprezentował „masońsko - komunistyczną mafję“, czy też „najwybitniejsze mózgi i talenty literackie stojące w służbie proletarjatu i socjalizmu“, czy „jaczejkę komunizujących żydziaków“, czy „najlepszą część młodej polskiej literatury“ — to wszystko ma dla sprawy znaczenie najwyżej... czwartorzędne.

Rzeczą jedynie ważną był, podchwycony jednogłośnie przez obradujących, okrzyk literata Dembińskiego: „Niech żyje Lwów— stolica Ukrainy!“

To był piorun, a raczej — grom... — z jasnego nieba! Jeśliby najchytrzejszy, najpiekielniej wyrafinowany endek, oenerowiec, czy inny „wróg proletarjatu“ zapragnął storpedować czerwoną propagandę i ideologję na terenie Lwowa — nic skuteczniejszego i lepszego od tego okrzyku wymyśleć nie byłby w stanie!

Jest bowiem rzeczą nie do pomyślenia, bezkarne rzucenie podobnego okrzyku w mieście, gdzie od siedemnastu lat nie zamalowuje się śladów ukraińskich kul na kolumnadzie uniwersytetu!

Więcej: nikt we Lwowie nie wyobrażał sobie nawet, aby okrzyk taki mógł paść z ust — Polaka!

NIEŚMIERTELNE BON MOT TAYLLERAND'A

Gdy Tayllerandowi doniesiono o rozstrzelaniu, z rozkazu Napoleona, księcia d'Enghien — poruszony do żywego zawołał: „C'est plus que la crime — c'est faute!“ (To więcej niż zbrodnia — to błąd!) — To powiedzonko największego dyplomaty świata przeszło do historji.

Okrzyk p. Dembińskiego był **nietylko** — zbrodnią, (z punktu widzenia polskiej racji stanu) — i „więcej niż zbrodnią“ jeśli chodzi o taktykę czerwonej idei — był to **błąd samobójczy, śmiertelny cios, wymierzony prosto w serce czerwonemu sztandarowi, który już tryumfalnie jął powiewać nad miastem.**

Inna rzecz, czy okrzyk ten można nazwać błędem z punktu widzenia państwowego, czy pod tym kątem patrząc, nie był on równie wielką — jak dla przeciwnej strony błędem — przysługą).

Faktem jest, że **okrzyk ten spowodował wybuch nacjonalizmu w warstwach, wśród których czerwona ideologja poczyniła ostatnio ogromne postępy.**

ROZMOWA NA WYSOKIM ZAMKU

— „Tak jak, proszu pana — dowodził mi pewien typowy lwowski batiar — ja w osiemnastym roku życie ryzykował, mój brat, Józku, na cmentarzu Obrońców leży, żeby mi dzisiaj taki warszawista, taka czerwona chulera — oferma literacka, moi miastu Ukraińcom oddawał? Niech on sy Warszawę na czerwono polakieruje i ukraińcom odda! A Lwowi niech nie rusza, bo będzi źle!“ —

Starałem się możliwie dosłownie odtworzyć opinję mojego przedmówcy. **Przytoczyłem ją zaś dlatego, że, choć nie w tej ma się rozumieć formie, ale w identycznym sensie wypowiedział się cały polski Lwów.**

Przeprowadziłem setki rozmów z ludźmi z najrozmaitszych sfer społecznych i o najróżniejszych przekonaniach politycznych i twierdzę stanowczo, że „zjazd pracowników Kultury“ spowodował piorunujące przesunięcie w politycznym układzie sił w mieście i przekreślił na długi czas możliwość powrotu czerwonej dominanty.

LUDZIE W KTÓRYCH ŻYŁACH PŁYNIE CZARNA KREW

Artykuł nie byłby zupełny, gdybym się nie postarał dotrzeć do źródła takiego stosunku do sprawy ukraińskiej i ukraińców.

Pamiętam, jak potępialiśmy pacyfikację i oburzaliśmy się na Lwów, który ją nietylko chwalił, ale ganił za... zbytnią łagodność!

Żądaliśmy pobłażliwego traktowania bojowców z U. O. W. przez pamięć na to, jak nas traktowali Moskale i aż nas zatykało, gdy lwowianie dowodzili, że to co innego i tamto co innego. —

Nie pojmujemy bowiem, że **Lwów patrzy na Ukraińców mniej więcej tak, jak biały z Południowych stanów U. S. A. na... murzyna.**

Wystarczy przejść ulicą Ruską, popatrzeć na szyldy, wśród których niema ani jednego polskiego napisu, na tabliczki adwokatów, lekarzy i inżynierów w ukraińskim języku, przyjrzeć się butnym studentom w niebieskich czapkach ostentacyjnie popisującym się, możliwie najgłośniejszą, ukraińską rozmową, zaobserwować nienawistne spojrzenia jakie ściąga na siebie każdy mówiący po polsku... Wystarczy podejść do któregokolwiek studenta, kupca, czy nawet przechodnia z uprzejmem zapytaniem czy prośbą o informację i usłyszeć opryskliwe harde, przez zęby wycedzone „Ne rozumiju!“ ...Wystarczy wejść na chwilę do ukraińskiego domu akademickiego, gdzie o każdej porze znajdzie się ktoś, kto przynajmniej półgłośno będzie nucić: „Ne pora, ne pora Lacham służyty!“ — by najobjektywniej, najżyczliwiej do kwestji ukraińskiej nastawionego Polaka, zaczęło coś dusić za gardło i czerwono się robiło przed oczyma!

Może to śmieszne — ale to się czuje we Lwowie — czuje się poprostu namacalnie, tę bezpośrednią bliskość obcego i wrogo do nas ustosunkowanego plemienia, — które żyje zda się i oddycha jedynie żądzą krwawego odwetu za rok 1918 i nadzieją wyzucia nas z terenu Małopolski aż hen, poza San!

LEOPOLIS, SEMPER FIDELIS

I oto jest prawdziwe oblicze Lwowa— bez maski! Obojętne, czy chwilowo zachodzi ono czerwonym rumieńcem. —

Ważne jest, że w tym bastjonie wysuniętym, jak reduta w morze ukraińskich wiosek, bije nieugięte polskie serce — które nigdy nie zawiedzie — bez względu na to, czy nad chronionym przez kamienne lwy ratuszem powiewa chorągiew biało - czerwona, czy... szkarłatna. —

To tylko powierzchowna, zewnętrzna sprawa chwilowego układu sił politycznych i ich rozgrywek.

Istotna treść, najgłębszy wyraz duszy Lwowa — to mauzoleum na cmentarzu Obrońców, u stóp którego nieznane ręce składają wciąż świeże kwiaty. Argus.

(Dokończenie ze str. 1-ej).

do przytułku przy ul. Wolność, skąd, po spędzeniu nocy odstawia nieszczęśliwą kobietę do szpitala... Jana Bożego, gdzie umieszczają ją na sali... furjatek, bez jakichkolwiek badań wstępnych.

MIĘDZY FURJATKAMI

Cudem udaje się Pyzelowej zawiadomić o swem nieszczęściu poznana u dr. Betherówny właścicielkę hotelu „Rosja“ Rozenthalową i gdy ta odwiedzą Pyzelową u Jana Bożego, „warjatka“ błaga aby zabrała ją z tego straszliwego miejsca. Rozenthalowej, której nota bene Pyzelowa przyrzekła pewną zapłatę, udaje się uzyskać dla rzekomej „chorej“ 5-dniowe zwolnienie. Widząc, że zewsząd usuwa jej się ziemia spod nóg, **Pyzelowa, ledwie wydostała się na wolność, biegnie do adwokata Alfreda Białaszewicza, któremu w swoim czasie dala pełnomocnictwo dla wywindykowania 30 tysięcy złotych, pozostałych jej na 1 nr. hipoteki w spadku po matce.**

Adwokat Białaszewicz, zawiadamia o tem, że Pyzelowa jest na wolności dr. Betherównę, która wespół z Feliksem Pyzlem składa w komisarjacie zameldowanie, że ...**Pyzelowa uciekła ze szpitala warjatów i usiłowała... zamordować Betherównę.** I znów „warjatka“ dostaje się za kraty Bonifratrów. Dzięki pomocy osób życzliwych spośród personelu szpitalnego, udaje jej się po raz drugi wydostać na wolność.

PONURA ZAMIANA

Losem tragicznej ofiary, zajmuje się kilka osób. Adwokat Szumański kieruje przeciwko tym, którzy Pyzelową ulokowali w szpitalu dla obłąkanych — skargę do prokuratora. Okazuje się bowiem, że Pyzelowa została **ulokowana u Jana Bożego na podstawie świadectwa choroby wystawionego przez dr. Ursteina, do którego w swoim czasie zgłosili się Feliks Pyzel, dr. Marja Betherówna i b. prokurator wileńskiego sądu okręgowego St. Bużycki, wraz z jakąś kobietą, którą lekarzowi przedstawili jako umysłowo chorą żonę Pyzla, a którą w rzeczywistości była rzeczywiście chora umysłowo Kazimierza Kołaczkowska.** Dr. Urstein wprowadzony w błąd wydał świadectwo na nazwisko Marji Pyzel i wskutek tego prawdziwa żona Feliksa Pyzla znalazła się któregoś dnia za kratami szpitala dla obłąkanych.

ARESZTOWANIE KANALJI

W związku z wykryciem tej afery, Pyzla osadzono w więzieniu mokotowskiem. Przerażeni takim obrotem sprawy, **spółtowarzysze aresztowanego postarali się o... zatuszowanie przykrego incydentu,** opierając się na przesłankach, do których jeszcze powrócimy. W rezultacie sprawa została umorzona, Feliksa Pyzla uwolniono z więzienia, p. St. Bużycki zgłosiła się do szpitala Jana Bożego i podpisał deklarację, że chorą umysłową Marję Pyzelowa bierze na swe utrzymanie i swoją odpowiedzialność, poczem **ponownie umieścił znękaną kobietę u... Beterówny.**

Jak się czuła tam ofiara ponurych machinacji, nie trzeba czytelnikom naszym wyjaśniać. Wystarczy jeśli powimy, że po 2 tygodniach, uciekła, ona z mieszkania, które stało się dla niej piekłem...

Dowiedziawszy się o tem, p. Bużycki **kazał Pyzelową aresztować i oddać pod opiekę męża,** który mieszkał wówczas przy ul. Powsińskiej, pracując jednocześnie w księgarni Trzaski, Everta i Michalskiego.

KANALJA, ZOSTAJE KANALJĄ

Pożycie dwojga nienawidzących się ludzi pod wspólnym dachem, stało się koszmarem nie do zniesienia. I oto, gdy Pyzelowa znajduje się w 5 miesiącu ciąży. Pyzel wyrzucony w międzyczasie z posady, **ucieka z domu, składając do prokuratora skargę, w której domaga się ponownego zamknięcia żony w szpitalu obłąkanych, bowiem chciała go ona.... zabić.**

Tragiczne widmo krat szpitalnych, zmusza „warjatkę“ do szukania pomocy u przyjaciela jej zmarłych rodziców, **zamieszkałego w Wilnie gen. Stankiewicza,** który istotnie przychodzi jej z pomocą w momencie najtragiczniejszym, bo w chwili rozwiązania.

GOLGOTA TRWA

Po rozwiązaniu, następują jednakże dalsze etapy tragicznej golgoty „warjatki“. Z internatu „Nasz Dom“ zostaje zwolniony syn jej z pierwszego małżeństwa, ma już bowiem 14 lat, a tylko do tego wieku mógł tam pozostawać Przytułek przy ul. Wawelskiej zwraca jej 2-letnią już córeczkę. Razem z niemi i z noworodkiem zamieszkuje bez grosza przy duszy w małej klitce przy ul. Mokotowskiej. Właściciele mieszkania, którym nie może płacić, robią jej najokropniejsze szykany. **W rezultacie mieszka z dziećmi w pokoiku, w którym niema światła, wyjęto ramy okienne, zamknięto dostęp do wody i do ubikacii, zabrano drzwiczki od pieca.**

Poco to wszystko „warjatce“, która w dodatku nie ma czem płacić. Na alarm, który podnosi prasa, losem Pyzelowej zajmuje się Związek Młodzieży Kresowej i wynajmuje jej w domu nr. 132 przy ul. Czerniakowskiej pokój, płacąc za rok zgóry komorne. Ledwie przeprowadza się tam i zaczyna, jako tako egzystować, uzyskując kilka lekcyj, **czyjeś niewidzialne dłonie zabierają jej... 15-letniego syna. Chłopak ginie bez wieści.** Napróżno matka biega po urzędach, instytucjach. Albo nic nie wiedzą, albo wzruszają ramionami... „warjatka“.

„WARJATKA“!

Ktoś niewidzialny rozpuszcza w domu, w którym zamieszkała pogłoskę, że to... „warjatka“ i w dodatku niebezpieczna, **bo chciała własnego syna zabić. Oczywiście rodzice dzieci, którym dawała lekcje — wymawiają jej pracę.**

Znów otwiera się przed tą współczesną męczennicą otchłań nędzy.

Dowiaduje się w międzyczasie, że syn został ulokowany w jakimś internacie pod Bydgoszczą. Nie może być przecież z matką-„warjatką“, która go chciała zabić... Zwraca się do wydziału opieki, do różnych instytucyj charytatywnych. Wszędzie zamknięte drzwi przed... umysłowo chorą. Oczywiście o jakiejkolwiek pomocy ze strony męża nie może być mowy. Pyzel przedewszystkiem przepadł gdzieś, **a następnie uzyskał w sądzie arcybiskupim unieważnienie małżeństwa.**

Na domiar złego, któregoś dnia przyszła jakaś kobieta, zwabiona ogłoszeniem w którem Marja Pyzelowa prosi o jakąkolwiek pomoc. **Ta kobieta porwała jej ostatnie dziecko.**

Marja Pyzelowa została sama, opuszczona przez wszystkich „warjatka“, **którą nawet jeden z księży prałatów, gdy przyszła doń, jako proboszcza parafji, aby ochrzcił jej dziecko, kazał wyrzucić przez robotników pracujących przy odbudowie kościoła.**

Scenarjusz sensacyjnego filmu? Nie, niewątpliwie autentyczne opowiadanie tragicznej „wartatki“, która odwiedziła naszą redakcję.

Dzisiaj Marja z Kupickich Pyzelowa, **nie sądownie, a jedynie administracyjnie uznana za chorą umysłowo, zdycha z głodu. Zabrano jej brutalnie dzieci, zabrano prawo do życia. Potraktowano gorzej niż parszywego psa.**

Nie dziwi nas oschłość i obojętność władz administracyjnych czy instytucyj „dobroczynnych“, rozumiemy nawet stanowisko ojców duchownych kościoła katolickiego, boć przecież córka „zbłądziła i między kalwiny weszła“, ale czy w Rzeczypospolitej, wielkiej i możnej za nic jest prawda? Czy można tak poniewierać niewinnym człowiekiem? Czy niema kary na tych ludzi, którzy go w otchłań upodlenia zepchnęli? I czy niema l u d z i?!

Alfa.

Goj winien, czy żyd?

Jak rodzi się antysemityzm

Sprawa żydowska, dzięki wielu już tragicznym wypadkom, stała się zagadnieniem, nad którem do porządku dziennego przejść się nie da, bo ta sprawa **„po kościach się nie rozejdzie“.**

Przedewszystkiem należy się zastanowić, gdzie leży przyczyna, że sprawa żydowska „narosła“ tak poważnie, że stała się zagadnieniem?

AGITACJA ENDECKA

Niewątpliwie ma tu duży wpływ agitacja tego samego stronnictwa, które rządząc Polską przed przewrotem majowym, **zawierało pakty z pewnemi grupami własnych obywatli, narażając w ten sposób na szwank powagę i autorytet Państwa.**

Ale o tem bojowi antysemici zdaje się zbyt prędko zapomnieli, nie od rzeczy przeto będzie gdy ten fakt przypomniany zostanie.

ALE NIE TO NAJWAŻNIEJSZE

Jednakże antysemicka agitacja Stronnictwa Narodowego nie jest główną i wyłączną przyczyną tego stanu rzeczy, jaki obserwujemy.

Na fakt wzrastania antysemityzmu w społeczeństwie polskiem wpływa **szereg przyczyn innych,** które pokrótce postaramy się rozpatrzeć.

POLSKA BIEDA

Jedną z przyczyn zasadniczych wzrastającego w Polsce antysemityzmu jest znana powszechnie bieda, która wywołuje ten skutek, że każdy, kto jest tą biedą przyciśnięty, **rozumuje uproszczonemi kategorjami.**

Nic przeto dziwnego, że chłop zapracowany po łokcie, niewidzący całemi miesiącami złotówki, widząc zażydzone miasta, w których ludność, według mniemań tegoż chłopa, żyje dostatnio, **dopatruje się w tem zjawisku przyczyn swego ubóstwa. — To uproszczone rozumowanie jest, powiedzmy to sobie otwarcie znakomicie wspomagane zachowaniem się samej ludności żydowskiej.**

FAKTY, FAKTY

Znane jest nam miasteczko, w którem nie było ani jednego sklepu polskiego. Wreszcie znalazł się śmiałek, który „odważył się“ na założenie sklepu spożywczego. Wytrzymał **tylko dwa miesiące,** mimo, że nikt w tem miasteczku z racji założenia sklepu chrześcijańskiego akcji antysemickiej nie prowadził, nikt do kupowania w małym i ubogim sklepiku chrześcijańskim nie namawiał i nikt **w żydowskich sklepach szyb nie wybijał.**

„WALKA KONKURENCYJNA“

Ale ten mały sklepik przestraszył miejscowych żydków, którzy zaczęli przemyśliwać, w jaki sposób pozbyć się konkurenta. — I znaleźli szereg niewybrednych zgoła środków i sposobów. — **Najpierw „zadźgali“ nożami napół zdechłą szkapinę sklepikarza, potem obili jego parobczaka, a wreszcie produkty spożywcze, znajdujące się w sklepie, stanowiące prawie cały majątek właściciela, oblali naftą.** — Sklepikarz musiał zwinąć swój „kram“; zmykać, gdzie pieprz rośnie. — Ale skutek był jeszcze inny: oto w tem miasteczku zaczął szybko szerzyć się antysemityzm.

„NIEWYGODNA“ SPÓŁDZIELNIA

Inny przykład, nie mniej charakterystyczny: Jeden z nauczycieli szkół powszechnych w miejscowości B. na prowincji po bardzo wielu trudach doprowadził **do wybudowania Domu Ludowego,** w którym udało mu się zorganizować spółdzielnię spożywców. — Sklep zaczął świetnie prosperować, wobec czego żydzi z pobliskiego miasteczka, położonego od wspomnianej miejscowości zaledwie o 2 kilometry, stracili dotychczasowych odbiorców. — Za przykładem miejscowości B. poszły inne — sąsiednie wsie. — W miasteczku, w którym nikomu nie śniło się nawet wybijać szyb, czy też bić żydów, **powstał popłoch.**

3000 JUDASZOWYCH SREBRNIKÓW

Rozpoczęły się narady, w wyniku których zebrano od miejscowych kupców trzy tysiące zł., które próbowano **zaofiarować nauczycielowi za cenę zaprzestania organizowania spółdzielczości.**

Nauczyciel hojnych ofiarodawców wyrzucił zadrzwi i... od tego czasu stał się antysemitą. (Ale endekiem nigdy nie był i dotychczas nim nie jest).

Podobnych wypadków moglibyśmy przytoczyć całą masę, gdyby nie obawa przed znużeniem czytelników.

A obok tych drobnych, szerszej opinji publicznej nieznanych wypadków, przyszły takie, które głośnem echem odbiły się nietylko w najszerszj opinji całego kraju, ale i zagranicą. —

KRWAWY PRZYTYK

Jednym z nich był Przytyk. To prawda, że „bogoojczyźniani“ ideowcy rozpoczęli agitację przeciwko żydom, ale ta agitacja **widocznie tak straszną nie była,** skoro oskarżeni żydzi w procesie radomskim zeznają, że tej agitacji nie lękali się. — Ale pozostanie również prawdą, objektywnie przez oskarżyciela publicznego stwierdzoną, że gdy uspokojeni przez miejscowych nauczycieli chłopi, **zaczęli się rozjeżdżać do domów, wówczas z okien mieszkań żydowskich padły strzały rewolwerowe do chłopów, uzbrojonych w... biczce.** — I dopiero gdy się rozległy wołania, że „brata naszego zamordowali żydzi“, wezbrała fala antysemityzmu, której skutki są powszechnie znane. — I tu nic nie pomoże biadanie na temat „hec antysemickich“, albowiem zanim się zacznie narzekać, trzeba spokojnie, bez piany na ustach zbadać, kto ten antysemityzm organizuje.

OBLICZE MIŃSKIEJ TRAGEDJI.

I wreszcie ostatni, tak tragiczny we swojem założeniu i skutkach, wypadek w Mińsku Mazowieckim. Z ręki mordercy w okresie ogólnego podniecenia padł żołnierz Rzeczypospolitej, żołnierz, **mający na sobie w momencie morderstwa mundur przez cały naród ukochanej Armji, tej Armji, której tworzeniu całe swoje życie poświęcił Jej Wielki Wódz.** Morderstwa dokonał osobnik, dla którego, jak krążą wersje, nie była obcą działalność wywrotowa i który dziwnie i mocno, jak prasa codzienna doniosła, twierdził, że tego haniebnego czynu dokonał wyłącznie **z własnej inicjatywy.**

To wszystko wzięte, jakoś dziwnie i niejasno wygląda. — Ale to już wchodzi w zakres kompetencyj władz sądowych, zostawimy przeto tym władzom wyświetlenie istotnej prawdy. — Nas obchodzi co innego, obchodzi nas proces coraz większego, jak na początku wspomnieliśmy, **„narastania“ antysemityzmu** oraz przyczyny tego procesu. —

ZEWNĄTRZ I WEWNĄTRZ

Poprzednio przytoczone były przyczyny natury zewnętrznej, do których dochodzą przyczyny natury psychologicznej i etycznej.

Weźmy dla przykładu drobne, lecz niemniej charakterystyczne wypadki z okresu **walki polemicznej o t. zw. ubój rytualny.** Otóż w związku z projektem ustawy, dotyczącej tego zagadnienia, w poszczególnych miastach zorganizowano strajki, celem zaprotestowania przeciwko projektowi ustawy. — Że w tym strajku wzięli udział chasydzi, to nas nie dziwi, ale zastanawia nas fakt, że w tymże strajku również brali udział **robotnicy żydowscy, należący do żydowskich partyj socjalistycznych, a nawet komuniści, którzy przecież nie uznają religji wogóle.** — A wszak trudno sobie wyobrazić Polaka, już nietylko socjalistę, ale nawet z bardziej umiarkowanego ugrupowania politycznego, ale radykała, któryby stawał w obronie jakiegoś dogmatu religijnego.

WOJUJĄCY NACJONALIZM

Cóż było przeto powodem takiego zachowania się ludności żydowskiej i jej solidarności?

Przypuszczalnie nic innego, jak tylko **czysty krwi nacjonalizm.**

A więc znowu prowokacja, wprawdzie w tym wypadku mniej dostrzegalna dla oka ludzkiego, ale nie mniej wymowna.

ŻYDZI WINNI!

Oto są właściwe przyczyny antysemityzmu przez nikogo nieorganizowanego, ale **wywołanego przez samą ludność żydowską** i przez jej zachowanie się. — Na takie zjawiska reaguje i będzie reagował każdy Polak. — Niepotrzebne są przeto te buńczuczne przechwałki endeckiej prasy, która w każdem odezwaniu się w kwesji żydowskiej w sensie dla niej nieprzychylnym **widzi objawy swych wpływów.**

W konkluzji stwierdzamy, że antysemityzm wzrasta przedewszystkiem pod wpływem niewłaściwego zachowania się samej ludności żydowskiej oraz wskutek **nadmiernej jej liczby w stosunku do ludności polskiej,** niespotykanej w żadnym innym kraju Europy. —

Te dwa fakty wystarczą, aby zrozumieć konieczność rozwiązania tego zagadnienia.

GDZIE JEST WYJŚCIE?

Ale jak?

Napewno nie w ten sposób, jaki wskazuje wojująca pałkami na ulicach miast endecka chuliganerja. — Jest to sposób, który sam przez się stawia wybitnie złe świadectwo jego projektodawcom, a naród któryby chwycił się tego rodzaju środków, **okryłby się hańbą i pozbawił możności posługiwania się mianem narodu kulturalnego.**

Pozostają tylko dwa sposoby możliwe do zrealizowania zagadnienia odżydzenia kraju: pierwszy, **to walka ekonomiczna, a drugi wypływający bezpośrednio z pierwszego, to masowa emigracja żydostwa z Polski.** —

UCZCIWA WALKA

Ale pod jednym warunkiem: że walka ta będzie oparta na zasadach uczciwych, dających możność przystępu do niej każdemu, a nie tylko tym z pałką, cuchnącą bombą, czy rewolwerem.

Konieczność rozwiązania tego zagadnienia musi zrozumieć przedewszystkiem ludność żydowska we własnym jej interesie i zamiast organizować różnorakie wiece, na których poszczególni działacze żydowscy opowiadają „bujdy smalone“ o antysemityźmie, powinna ona organizować wiece, na których tej ludności prowodyrzy powinni pouczać swoich słuchaczy **najpierw o zasadach przyzwoitego zachowania się w domu gospodarza,** (a te zasady są obowiązujące dla wszystkich bez wyjątku i pod każdą długością i szerokością geograficzną) oraz **o konieczności masowej emigracji.** —

Nad zagadnieniem emigracji żydowskiej powinien również bardzo poważnie zastanowić się Rząd i możliwie najrychlej do „rozładowania“ sprawy żydowskiej przystąpić, albowiem właśnie ta sprawa „po kościach się nie rozejdzie“. **W.**

Wyłazi szydło z worka

Tajny »Akademik« o pielgrzymce częstochowskiej

Znany już jest wszystkim dostatecznie incydent, jaki się wydarzył na zjeździe Związku Harcerstwa Polskiego we Lwowie w związku z projektem wysłania depeszy do akademików, którzy udali się z pielgrzymką na Jasną Górą. W poprzednim numerze „WIEM WSZYSTKO“ omówiliśmy mniej więcej wyczerpująco tę przykrą historję, wskazując na polityczny charakter manifestacji jasnogórskiej.

Oto leży przed nami **numer nielegalnego pisma perjodycznego p. t. „Akademik Polski“,** numer, wydany jeszcze przed pielgrzymką jasnogórską. Przytaczamy hektografowany ten dokument w całości i bez zmian:

„AKADEMIK POLSKI“

Nr. 12.

maj — 1936 r.

bez cenzury rok II.

— Pielgrzymka Jasnogórska to —
Wielka Manifestacja Woli Młodych
Zbudowania
— Wielkiej Narodowo - Radykalnej Polski.

Odrodzenie wielkich ideałów Chrystusa przez młodych i obudzenie wiary w narodzie w bezwzględne prawdy etyki katolickiej stworzyło potrzebę zbudowania na miejsce zdegenerowanego ustroju niewoli i wyzysku — ustroju chrześcijańskiej sprawiedliwości społecznej. Ustrój ten oparty jest na idealistycznym światopoglądzie młodego pokolenia Polski, wyrażającego się w jego przywiązaniu do katolicyzmu i wierności do idei narodowej. Te dwa elementy są dziś w psychice naszej nierozłączne. Postawiliśmy zasadę, że do największego dobra człowieka, jakiem jest Bóg, można dojść jedynie przez służbę największemu dobru doczesnemu — Narodowi.

Katolicyzm odpowiada w pełni naszej psychice, jest on bowiem ideą Walki i Czynu. Nie uznając żadnych kompromisów, stawia jasno i otwarcie zdecydowany cel do osiągnięcia i nakazuje dla jego realizacji poświęcić największe nawet dobro osobiste — życie własne.

Program nasz narodowo - radykalny jest całkowicie zgodny z podstawami chrześcijańskiemi; katolicyzm nie daje żadnej określonej doktryny społeczno - gospodarczej, ani politycznej, zakreśla jedynie ogólne ramy, w których każdy program, jeżeli chce być oparty o ideę katolicką, musi się mieścić. Nasz program przebudowy życia polskiego urzeczywistnia najpełniej w w życiu społecznem i indywidualnem katolickiego światopoglądu podstawy. Cała dotychczasowa epoka i dotychczasowy ustrój kapitalistyczny — był jego zaprzeczeniem. Nasz ustrój stanie się jego tryumfem.

Nie są pełnymi katolikami ci, którzy stoją na gruncie przebrzmiałych doktryn i bronią kończącego się ustroju wyzysku i przemocy, któremu zada ostateczny cios Rewolucja Narodowo-Radykalna, dokonana przez Obóz Narodowo - Radykalny. Przez rządy sanacji, oddane skrycie masonerji i żydom, zepchnięci do podziemi, jak pierwsi chrześcijanie, członkowie O. N. R. — to ludzie silni, bez względu na ofiary oddani sprawie Boga i Narodu.

W Pielgrzymce Częstochowskiej weźmie udział tysiące akademików, ogarniętych jedną wolą — wprowadzenia w Polsce praw boskich i ustroju sprawiedliwości społecznej, opartego na programie O. N. R.

Świadomy swej misji katolik, to człowiek gorącej wiary i czynu, to człowiek posiadający nieugiętą wolę — wcielenia w życie nauki Chrystusowej i opartego na niej programu społeczno-politycznego O. N. R.

W obozie Narodowo - Radykalnym siła i moc walczącego katolicyzmu to świt wielkiej Polski Chrystusowej.

Obóz Narodowo - Radykalny
Oddział Akademicki
Warszawa, Lwów, Kraków, Wilno, Poznań, Lublin“.

Czy trzeba komentarzy?

Matura–matka tragedyj i występku

Każda droga dobra, jeśli prowadzi do świadectwa dojrzałości...

Rok rocznie przed wysoce dostojnem gronem profesorskiem, wzmocnionem w powagę przez obecność delegata wyższych władz szkolnych — stają dziesiątki młodzieży, by przekonać owe dostojne osobistości o swej **„dojrzałości" do życia i wyższych studjów.** Rok rocznie okres ten staje się okresem wielu tragedyj, gorączkowego „powtarzania", douczania się, nerwowego wyczekiwania na rezultat — prawdziwym przeklętym okresem męki.

Zbyt wiele pisano już o instytucji egzaminów maturalnych z punktu widzenia pedagogiki i zdrowotności młodzieży, zbyt wielu fachowców w tej dziedzinie wypowiedziało się i wypisało, byśmy jeszcze rozważali tu po raz nie wiem który zasadnicze strony tego zagadnienia.

Natomiast dla wiadomości społeczeństwa podajemy garść faktów, które oświetlą z jednej strony udrękę młodzieży, z drugiej próby omijania prawidłowego i uczciwego przebiegu egzaminów.

MIESIĄC SAMOBÓJCÓW

Weźmy pierwszą lepszą statystykę Pogotowia Ratunkowego, weźmy stare zestawienia, podawane przez prasę pedagogiczną, a przekonamy się, że okres egzaminów maturalnych — to **prawdziwy „miesiąc samobójców".** Nie jest przyczyną tego zjawiska romantyzm wiosenny ani majowe miłostki. **Przyczyną największej ilości samobójstw wśród młodzieży w tym okresie, jest zawsze... zły wynik egzaminów maturalnych.** Niejeden młodzieniec i niejedna dziewczyna widząc swój start w życie obalony przez mniej czy więcej sprawiedliwy wyrok **odmawiający życiowej dojrzałości na urzędowym blankiecie** — sięga po truciznę czy rewolwer, by zerwać z „niepatentowanem" życiem.

KUBEŁ PANA DELEGATA

Trzeba pamiętać, że na wynik egzaminów maturalnych ma także wielki wpływ czynnik emocjonalny: zdenerwowanie arbiturjentów nieraz przeszkadza w uwiecznieniu pomyślnym skutkiem długoletnich solidnych i uczciwych studjów. Dlatego też profesorowie, znający swych uczniów są bardziej pobłażliwie nastrojeni wobec tej ceremonji, niż przybyli delegaci, wychodząc z założenia, że przez osiem lat nauki zdążyli poznać poziom umysłowy i zasób wiedzy swych wychowanków.

Zato panowie delegaci nieraz w swej rygorystyce posuwają się aż do absurdu.

Nie tak dawno prasa doniosła o wypadku, który każdego pobudził do szczerego śmiechu, ale jednocześnie może służyć jako przykład tępoty umysłowej.

Wielką troską całego personelu nauczycielskiego jest uniemożliwienie uczniom korzystania z pomocy obcej. Dlatego też wspomniany delegat, przeprowadzający czy inwigilujący egzamin w jednem z łódzkich gimnazjów żeńskich nie zgodził się aby uczennice podczas egzaminu wydalały się z klasy w celach... fizjologicznych.

By zaś nie gwałcić natury kazał pan delegat przynieść kubeł do klasy i tam, w kącie pod ścisłym nadzorem jednej z nauczycielek, panienki dawały upust swym... potrzebom naturalnym.

TEMATY WCZEŚNIEJ...

Również niedawno prasa doniosła o przerwaniu egzaminów w gimnazjum im. Sobieskiego w Grudziądzu, ponieważ ujawnione zostało porozumienie pomiędzy uczniami, i którymi nauczycielami, porozumienie, dzięki któremu uczniowie **otrzymali nadesłane z kuratorjum i przechowywane „w tajemnicy" tematy maturalne... wcześniej.**

Czy to porozumienie było „wyrażone" w gotówce i jak było skalkulowane — niewiadomo.

W Lublinie w tym samym czasie wykryto całą doskonale zorganizowaną **„organizację walki z maturą".**

Natomiast w stolicy, mieście znanem z właściwego oceniania wartości pieniądza, korzystanie z pomocy przy zdawaniu egzaminów maturalnych jest zjawiskiem notorycznem i ujętem w ściśle określone normy finansowe.

Przedewszystkiem można śmiało powiedzieć, że pośród uczniów, a zwłaszcza wśród uczennic żydowskich gimnazjów prywatnych, **samodzielnie zdający egzamin uchodzi za curiosum.** Dotyczy to oczywiście egzaminów piśmiennych.

DOJRZAŁOŚĆ ZA 30 ZŁ.

Już na dłuższy czas przed maturą **mobilizuje się specjalna gwardja „pomocników maturalnych".** Rekrutują się oni spośród studentów, aplikantów, początkujących dziennikarzy i zawodowych korepetytorów.

Szczegóły zostają dokładnie omówione. — Ugodzona zostaje i cena, która wynosi przeciętnie 30 złotych za zdanie matury z danego przedmiotu.

W dzień egzaminu, rano, okolice wspomnianych wyżej gimnazjów są widownią niesłychanego powiększenia frekwencji w kawiarniach, cukierniach — nawet lodziarniach. Wszędzie uzbrojeni w papier i pióro czekają „pomocnicy", gotowi natychmiast po otrzymaniu tematu wypracować **cuda nauki i wiedzy,** mające zachwycić wysokie ciało pedagogiczne.

Sposób w jaki temat podyktowany grupie uczniów w zamkniętej klasie przenika mury i wogóle cała łączność pomiędzy uczennicami, a oczekującem na dole gronem rodziców, krewnych i przyjaciół arbiturjentów jest „tajemnicą zakładu". Znane są jednak fakty **urządzania takiej konspiracyjnej poczty za wiedzą władz szkolnych.** Najczęściej bierze to na siebie **odpowiednio opłacony woźny.**

„GWARANTOWANA" MATURA

Wyrozumiałość władz szkoły tłomaczyć należy tem, że w interesie kierownictwa gimnazjum prywatnego leży wydanie jaknajwiększej ilości matur gdyż inaczej gimnazjum „traci na opinji". Jedna z kierowniczek takiego gimnazjum, przy zapisywaniu uczennicy, na zakwestjonowanie wysokiej ceny wpisu, powiedziała mrużąc znacząco oko: — **„Tak, ale zato matura gwarantowana".**

Owa gwarancja — to właśnie tajemnica podróży tematów maturalnych do kawiarenek i mieszkań w okolicy gimnazjów, specjalnie zamówionych dla „pomocników".

Kilkadziesiąt minut pracy, która dla „zawodowca" w tym procederze nie przedstawia nic specjalnie trudnego, zwłaszcza przy pomocy podręczników i sławetnych „skrótów" (t. zw. „bryków") żerującego na uczniach wydawnictwa „Hawu" — i oto wypracowanie maturalne gotowe. Zjawia się znowu zdyszany „łącznik" i tą samą tajemniczą drogą wędruje gotowy elaborat na salę egzaminacyjną, gdzie wystarczy go tylko przepisać.

Pomocnik tymczasem inkasuje drugą połowę należności. (Połowę zwyczaj nakazuje płacić przy umowie, albo najpóźniej przed rozpoczęciem „pracy").

PRZEMYTNICZKI WIEDZY

Niektóre uczennice, nie mogąc sobie pozwolić na opłacenie pomocników, usiłują na własną rękę zabezpieczyć się od „katastrofy". W tym celu preparuje się **prawdziwe arcydzieła przemytniczej odzieży.** Robi się to w ten sposób, że w szwy jakiejś starej sukni, w specjalnie wszyte kieszenie wewnętrzne i sprytnie zakonspirowane zakamarki pakuje się **ładunek „ściągaczek".** Owe „ściągaczki" to wąskie paseczki papieru złożone następnie w harmonijkę — na których kolektywnym systemem przez uczennice wypisano z owych „skrótów" przedsiębiorstwa „Hawu" najbardzej spodziewane opracowania tematów. **Gdy padnie z katedry wieszcze słowo i w zapasie — raczej w spódnicy — istotnie znajduje się ten temat— wystarczy tylko kilka zgrabnych ruchów celem wydobycia go z maturalnego „patrontasza"...** i matura spada z nieba...

ZABÓJCZA KONKURENCJA

Pytałem kiedyś jednej dość zdolnej uczennicy, która szykowała się w wymieniony sposób do egzaminów i również zamawiała sobie „pomocnika" dlaczego to czyni, kiedy jej poziom postępów pozwala raczej na optymistyczne oczekiwanie wyników. Odpowiedź brzmiała:

— Od kilku lat wszystkim moim koleżankom piszą wypracowania, klasówki i inne zadania aplikanci, dziennikarze i studenci. Tak samo będzie na maturze. Jestem pewna, że zdałabym samodzielnie, ale przecież nie wytrzymam konkurencji „pomocników.

ŻEROWISKO KOMBINATORÓW

W tych warunkach matura w szkołach prywatnych stała się nie sprawdzianem faktycznych umiejętności ucznia czy uczennicy, lecz żerowiskiem dla wszelkiego rodzaju „pomocników", dla rodziców zaś koniecznością szukania na gwałt gotówki na pokrycie kosztów kupionej po „przystępnej" cenie „dojrzałości" dziecka, któremu niepodobna przecież zamknąć u progu życia karjery dla „marnych" stukilkudziesięciu złotych, jakie wypadnie zapłacić „pomocnikom" za egzaminy piśmienne z odpowiednich przedmiotów.

NIEWIELKIE DOZY — PRZYSTĘPNA CENA

Trzeba zaznaczyć, że na mniejszą skalę i w łatwiejszych warunkach taki sam przemysł kupowania wypracowań kwitnie w szkołach w ciągu całego roku szkolnego przy okazji przeróżnych „klasówek", wypracowań domowych i t. p. **Ceny są tu oczywiście przystępniejsze** — ale nieraz dość wysokie — np. za wypracowanie francuskie dla klasy 7-mej, pobierają np. „renomowani" pomocnicy od 10 do 15 złotych.

Tak się kupuje wiedzę i dojrzałość w niewielkich dozach po cenach zgoła niewygórowanych. **I to jest cena, której nieuiszczenie powoduje nieraz samobójczy strzał lub desperacki łyk trucizny.**

Jan Świetlicki.

„Wy oszyblis, gaspada"

Polska jest mocniejsza niż w 1920 roku przypuszczano

Emigracja rosyjska w Polsce przesadza się wprost w zapewnieniach lojalności wobec naszego państwa.

Pięknie. Jest to dowodem, że emigranci poczuwają się do obowiązku wdzięczności za udzielone im gościnnie azylum.

Nie poruszalibyśmy tej sprawy, gdyby nie pewne „ale" — i to „ale" dość duże i bardzo ciekawe. —

Leży przed nami numer dziennika, organu emigracji rosyjskiej w Ameryce Północnej p. t. „Swiet" („Świt" z d. 14 maja 1920 r.). Na pierwszej kolumnie znajdujemy wiadomości z wojny polsko - bolszewickiej, pod następującym nagłówkiem: „Rabota gienierała Brusiłowa" (w sposób entuzjastyczny wychwalający strategję sowieckiego generalissimusa), „Pobieda nad Polakami" (zwycięstwo nad Polakami), gdzie tłustym drukiem podkreśla się, że „bolszewicy odnieśli wielkie zwyzwycięstwo i sforsowali Dźwinę w okolicach Połocka (w gub. Witebskiej)". —

I dalej takie oto „smaczne" dwa tytuliki: **„Poliaki połuczajut po zasługam"** (Polacy dostają na co zasłużyli) gdzie znów wielkimi czcionkami w środku wiadomości pokreślono, że **„Polacy zmuszeni byli do odwrotu wobec przewyższających ich liczbą sił bolszewickich".** I na zakończenie „Poliakam doslajotsia" (Polacy dostają w skórę).

W każdej wiadomości skwapliwie zaznacza się, że **„Polacy zmuszeni byli do odwrotu, a ludność entuzjastycznie i zachwytem (z wostorgom) witała wojska bolszewickie".**

Jeśli uprzytomnimy sobie, że w **Rosji szalał wówczas czerwony terror, a Polska już wówczas udzielała gościnnego schronienia uciekinierom z czerezwyczajek — zdziwić nas musi ten agresywny ton w stosunku do nas.**

Z drugiej strony dziwią nas owe umizgi emigranckie, dzisiaj, gdy w Sowietach zarzucono już prześladowanie warstw posiadających i burżuazji.

Możeby p. Fiłosofow, jeden z najlepszych rosyjskich publicystów emigracyjnych wytłumaczył nam tę sprzeczność?

Bo inaczej gotowi jesteśmy przypuszczać, że **emigracja rosyjska pokładając nadzieje na białych armjach Wrangla, Judenicza, Kołczaka i Denikina nie kryła swych nieprzyjaznych uczuć wobec Polski, z której istnieniem w razie wskrzeszenia wielkiej Rosji carów za żadną cenę by się nie pogodziła.**

Dziś natomiast, gdy carska Rosja jest jedynie żałosnem wspomnieniem — manifestuje swe wiernolojalne uczucia wobec Państwa polskiego.

Może się mylimy, ale na to, tu gra wygląda. Chyba że nam p. Fiłosofow wyjaśni, że jest inaczej — bardzo chętnie i z prawdziwą przyjemnością wydrukujemy takie wyjaśnienie.

Este.

Bagienko Filmowe

Kant na kancie jedzie...

Zza kulis handelku scenarjuszami

W Europie przy pół czarnej siedzą dwaj przyjaciele: producent filmowy mniejszego kalibru i ex - reżyser, a obecny dziennikarz. Rozmawiają na temat nowego tryumfu krajowej wytwórczości

wkrótce mającego olśnić

szerokie rzesze kinomanów. Producent mistrzowsko buja, reżyser słuchając, uśmiecha się sceptycznie jakby chciał powiedzieć: „Bujać, to my..."

W pewnej chwili potok reklamiarskich zachwytów elokwentnego branżysty, przerywa lakoniczne pytanie:

— Kiedy?

— **Premjera?** — podchwytuje producent.

— **Nie, sprawa sądowa** — wyjaśnia sceptyk.

Ta anegdota najlepiej obrazuje atmosferę branży, na której dobro można zapisać jedynie to, że ułatwi przyszłym badaczom pracę nad

historją filmu polskiego

z pierwszej połowy XX wieku, gdyż do zgłębienia tego okresu wystarczą

kroniki sądowe,

w których prawie wszystkie twory naszych kochanych branżstów są szczegółowo opisane.

Ostatnio byliśmy świadkami sensacyjnej sprawy o przywłaszczenie

i plagjat scenarjusza p. t. „Pan Twardowski".

Parę lat temu młody scenarzysta Edward Sobkiewicz wespół z p. Kryłowskim napisali scenarjusz pod powyższym tytułem oferując swą pracę paru mniejszym wytwórenkom.

W owym okresie tematyka naszej wytwórczości znajdowała się pod znakiem brzydkich kibitek i kobitek - starych, nic więc dziwnego że pewien

karakułowy kacyk z branży,

po poznaniu się ze scenarjuszem zaproponował p. Sobkiewiczowi:

— Owszem, owszem, mogę nagrać, jeżeli pan uskuteczni pewne zmiany. **Zrób pan Twardowskiego młodym rewolucjonistą.**

Umowa z djabłem to puc dobry dla dzieci. Koniecznie trzeba zmienić szatana na jakiegoś vampa w guście Marleny. Rewolucjonista zakochany w Marlenie wyjawia jej swą miłość. Marlena pracując w wywiadzie rosyjskim zgadza się żyć z rewolucjonistą pod jednym warunkiem. Będą żyli wolni od wszelkich zmartwień przez jeden rok, a potem rewolucjonista

ma zostać konfidentem wywiadu.

Bojowiec zgadza się, jednak nie dotrzymuje warunku umowy. Za karę zostaje wysłany ale nie księżyc, a na Sybir... No co pan do tego projekta? Można dać tytuł

„Miłość i zdrada czyli bojowiec w sidłach szpiega"!

Popraw pan, to nagramy! Aj co będzie za kasa! Aj! — cmokał z radości „kulturalny" filmowiec snując wątek sensacyjnego romansu.

Jak widzimy „Pan Twardowski" nie miałby najmniejszych szans nagrania, gdyby...

Gdyb pp. Kryłowski i Sobkiewicz nie dopuścili do spółki w eksploatowaniu scenarjusza,

niejakiego p. Dzierzbickiego,

podobno mającego wpływ na tuzy branży.

Niestety, Dzierzbicki swą współpracę z autorami scenarjusza rozpoczął od dość dziwnego kroku. Mianowicie zarejestrował scenarjusz u notarjusza Szymańskiego

pomijając nazwiska spólników

jak autorów.

Spólnicy postawieni wobec faktu dokonanego, wierzyli wykrętnym tłumaczeniom, że rejestracja na jedno nazwisko zaoszczędza kilkuset złotych... W ten sposób p. Dzierzbicki bez najmniejszych wkładów został **wyłącznym autorem „Pana Twardowskiego".**

Od chwili zarejestrowania minęło 3 lata. Sobkiewicz wyjechał na prowincję, zrywając kontakt z ponurym światkiem filmowym.

To też o nagraniu scenarjusza dowiedział się dopiero w dniu premjery filmu. Niespodzianką dla autorów było oświadczenie Dzierzbickiego,

że scenarjusz został nagrany bez jego wiedzy i zgody.

Panowie Sobkiewicz i Kryłowski nie wiedząc kto w tej aferze naprawdę zawinił, skarżą solidarnie reż. Szaro i p. Dzierzbickiego

o odszkodowanie w sumie 50.000 zł.

Czy to wszystko razem nie jest jakimś szaleńczym galimatjasem, jeśli się zważy, że właśnie w ubiegłym tygodniu sąd oddalił powództwo p. Dzierzbickiego przeciwko wspomnianemu reż. Szaro! Dom warjatów, bowiem trudno to inaczej nazwać.

Qui - qui.

Już za tydzień

Jeszcze tylko siedem dni dzieli nas od ciągnienia pierwszej klasy trzydziestej szóstej Loterji Państwowej. Główna wygrana tej klasy wynosi sto tysięcy złotych, pozatem jest wygrana pięćdziesiąt tysięcy, dwadzieścia tysięcy, cztery wygrane dzienne po dwadzieścia pięć tysięcy każda, pięć po dziesięć tysięcy, dziesięć po pięć tysięcy oraz wiele innych.

Tydzień — to niewielki przeciąg czasu, dlatego kto chce wziąć udział w losowaniu tych wygranych powinien pośpieszyć się z nabyciem losu. Spóźnianie się nigdy nie wywołuje dobrych skutków. W każdej okoliczności życiowej zyskuje ten, co się pośpieszy: kto pierwszy — ten lepszy, mówi przysłowie. I w grze loteryjnej uniknie się napewno wszelkich trudności i przykrych niespodzianek, gdy się zaopatrzy w los bez opóźnienia.

Pośpiech jest wskazany zwłaszcza dla tych, którzy przywiązują wagę do pewnych numerów. Im wcześniej zgłoszą się po los, tem łatwiej zdobędą upragniony numer, podczas gdy spóźniający się łatwo spotkać się mogą z odpowiedzią, że żądany przez nich los został nabyty przez kogo innego.

Pamiętajmy więc o dacie 18 czerwca i zaopatrzmy się w losy niezwłocznie.

(N.)

Dwa miljony dostanie

Ale w roku... 2015!

Początek tej niecodziennej zresztą historyjki sięga roku 1917.

W tym roku właśnie zaproponował Mark Gilbert, ówczesny kapitan marynarki handlowej Stanów Zjednoczonych, A. P., Departamentowi marynarki w Washingtonie, dostawę trzech okrętów, które miał wybudować wedle własnych planów. Okręty te miały służyć specjalnym zadaniom na wypadek wojny.

Po zbadaniu tych planów, Departament marynarki U. S. A. zamówił u Gilberta trzy takie okręty, przyczem budowy podjął się sam Mark Gilbert, będący wówczas właścicielem stoczni.

W myśl umowy, zamówione akręty, dostarczone być miały do wiosny 1918 r.

Gilbert raźno wziął się do pracy.

Na trzy zmiany pracowano w jego stoczni i pod jego osobistym nadzorem.

Pierwszy okręt oddał Gilbert do użytku floty Stanów Zj. A. P., znacznie przed ustalonym terminem.

Wszystko zatem było w najlepszym porządku i praca nad budową dalszych dwu jednostek postępowała raźno naprzód.

Aż nagle, ni stąd ni zowąd, otrzymał Mark Gilbert zawiadomienie Departamentu marynarki, że rezygnuje z dostawy dalszych dwu okrętów...

Gilbert, który w budowę tych okrętów zaangażował cały swój ówczesny niemały majątek, stanął wobec ruiny. Nie pozostało mu nic innego, jak żądać od Departamentu marynarki dotrzymania umowy, t. j. odebrania już zupełnie wykończonych okrętów i zapłaty za nie. Pertraktacje, pisanina trwały spory kawał czasu. Skończyła się wreszcie wojna.

O Gilbercie i jego okrętach nikt za wyjątkiem niego samego w całym rządzie USA w czasie tym nie myślał. Nie pozostało mu zatem nic innego, jak zaskarżyć skarb swej ojczyzny o zapłatę.

Proces, jak wszędzie zresztą, ciągnął się spory kawał czasu i skończył się, — inaczej zresztą stać się nie mogło — pełną wygraną Marka Gilberta. Jednakże wyrok ogłoszony ostatnio przez Najwyższą Instancję, zawiera osobliwą wprost i dotąd nienapotykaną klauzulę, że należność Gilberta w sumie 2 miljonów dolarów(!) zapłaconą być winna dopiero w... 85 lat od zaskarżenia, t. j. w roku 2015-tym naszej ery!!!

W ten sposób skończył się proces, przysądzający wprawdzie powodowi dwa miljony dolarów, oczywiście z małemi procentami, ale płatnemi... za 85 lat.

Gilbert z człowieka majętnego stał się... miljonerem bez grosza, stracił bowiem na wybudowaniu tych dwu okrętów i na proces wszystko co mu jeszcze pozostało.

Obecnie prowadzi mały zajazd w Travense City, stan Michigan, gdzie znany jest pod przezwiskiem „The penniless millionaire".

W każdym jednak razie wnukowie jego, a może i prawnukowie dopiero cieszyć się będą z tego, że w Stanach Zj. A. P. są przecież tak przewidujący sędziowie.

(a).

PATcie, muzyk ci się przyda

Miłośników Dziesiątej Muzy, odwiedzających dość często przybytki kinowe i skazanych na oglądanie nie zawsze cudownych tygodników naszej oficjalnej agencji, doprowadzić może do szału wieczne powtarzanie w kółko tych samych melodyj przy napisach wstępnych.

Od szeregu lat przy napisach, głoszących, że za chwilę ujrzymy jakąś uroczystość wojskową w Warszawie, Kielcach, Miami, Rouen, Sztokholmie czy La Paz, pokutuje jeden i ten sam oklepany marsz.

Ta sama melodja powtarza się naprzykład przy wszystkich katastrofach. Inna znów służyła PAT'owi do ilustracji nap'su o wypadkach wojennych w Abisynji, o uroczystości „Kaziuków" w Wilnie i o „Stu Pociechach" dla dzieci na Pradze. Czy to aby już nie zbytnia uniwersalność?

(f).

Inwektywy

Pani Kierowniczka

Jest to nowe wcielenie „niebieskiej pończochy". To co trzydzieści lat temu nazywało się „sawantka", obecnie nosi przebrzydłe miano „intelektualistki", choć niebieska pończocha jest dzisiaj czarna i jadwabna i obleka łydkę, niepozbawioną pewnego sex-appeal'u.

Pani kierowniczka posuwa się dalej. Chce być nietylko intelektualistką; — chce być wampem intelektualnym. Obnosi więc wyzywające męskie płaszcze, zadzierzyste kapelusze w stylu drugiego cesarstwa, tajemnicze woalki kryjące i podkreślające demoniczny magniffage, sensacyjny rozwód w przeszłości i predylekcję do młodzieńców typu amantów z Hollywood. Zapach perfum poprzedza ją jak zasłona z gazów trujących.

Ale to tylko strój maskaradowy albo jeśli wolicie, pozór uszyty z przynęt erotycznych. W istocie, z każdego cala postaci pani kierowniczki wyłazi sawantka, pretensjonalna i niechlujna, arogancka i zarozumiała, histeryczna i obłudna. Coprawda lepiej uzbrojona niż dawna, lepiej szermująca postulatem „kobiety wyzwolonej", bardziej łapczywa na posady i stosuneczki, trawiona tysiącem ambicyjek snobistycznych, zaprawiona w manipulowaniu bronią pochlebstwa i służalstwa. Krótko mówiąc — arrywistka.

Pani kierowniczka kieruje kulturalną edukacją naszej publiczki. To znaczy, że wścibia się na wszystkie inauguracje i manifestacje, obchody i pochody, otwarcia i zamknięcia. To znaczy, że wszędzie wścibia swój natrętny lonjan i swe trzy grosze i wszędzie czyha na to aby się dostać w pole widzenia prasowego fotografa, odpowiednio uplasowana obok najwyższych dygnitarzy miejskich. To znaczy, że pisze w gazetach o wszystkiem, — o nowych ochronkach i turystyce, o Gorgonowej i sztukach Passeur'a, o Annopolu i wystawach ogrodniczych.

Druga młodość pani kierowniczki spopiela się w dwu pasjach naraz. Są to: dziennikarstwo i teatr dla dzieci.

W dziennikarstwie nie powiodło się pani kierowniczce. Postrach redakcyj, została szybko wyparta z opłotków feljetonowych zwartym kontratakiem walkiryj pióra, monopolizujących w naszych dziennikach sprawy żłobków, przedszkoli, osiedli, pań domu i poradni przedślubnych. Nazwisko pani kierowniczki znikło z pism, nawet kobiecych, którem, jak wiadomo, najbardziej gardzą piszące damy. W tej dziedzinie obeszło się bez szkód.

Gorzej było z teatrem dla dzieci. W tej dziedzinie pani kierowniczka złożyła parę jaskółczych, a raczej kukułczych jaj, z których nie wykluło się nic, — prócz poważnych szkód zarówno dla idei teatru dziecięcego, jak i dla kasy miejskiej. Pani kierowniczka potrafiła przekonać swych zwierzchników, że jest polską Natalją Satz, i wydobyć od nich subwencję, przewyższającą czterokrotnie subwencję, jaką przed rokiem 1914 otrzymywały warszawskie teatry państwowe z zaborczej „kazny".

Teatr dla dzieci pani kierowniczki zrobił głośną i szybką klapę. Na paru jego przedstawieniach dzieci płakały z nudów. To co miało być skrzydlatym rajem naszych milusińskich, stało się mroczną otchłanią, w której potonęły złotówki ich rodziców — podatników.

Oto co się dzieje, gdy pani kierowniczka i jej podobne damy uważają, że zdolne są do czego innego i większego, niż kierowanie edukacją własnych dzieci i teatrem własnej kuchni. A przecież to takie trudne!

Huron.

Znasz li ten kraj?

Reportaż »Wiem Wszystko« z Wielkiej Rumunji

Bukareszt, w czerwcu.

Po Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, Wenezueli, Z. S. S. R., Meksyku i Persji, piąte miejsce w ogólnoświatowej produkcji ropy naftowej zajmuje... Rumunja.

Produkcja roczna przekracza 5 miljonów tonn. Wszystkie pozostałe kraje globu ziemskiego wydobywają razem raptem około 15 miljonów tonn.

ZŁOTODAJNY KRAJ

Ślepy i głuchy zrozumie, że w tych warunkach kraj, który przed wojną europejską liczył zaledwie około 140 tys. klm. kwadr. i około 8 miljonów mieszkańców, a po wojnie rozrósł się do ponad 300,000 klm, kwadr. i zyskał prawie 18 miljonów mieszkańców, jest **objektem godnym specjalnej uwagi i...** jaknajwiększych wkładów.

Zorjentowały się w tej sytuacji wszystkie państwa świata i ktokolwiek tylko mógł rozmawiać z Rumunami, wahlując się jednocześnie miljonowemi czekami, ten robił to z mniejszym lub większym talentem.

Rezultat?

ZAGRANICZNE KAPITAŁY

W chwili obecnej jest w Rumunji ponad 30 wielkich konsorcjów naftowych. Począwszy od wielkiego „Astra Romana“, rozporządzającego miljardowemi kapitałami towarzystwa angielsko - holenderskiego, które eksploatuje setki tysięcy ton ropy naftowej rocznie, a skończywszy na stosunkowo mikroskopijnem „Telega-Moreni“, gdzie rządzi się kapitał francusko - rumuński, wszystkie one, w olbrzymiej większości **uzależnione są od kapitałów zagranicznych.**

Oficjalnie statystyki rumuńskie wykazują 41,5 kapitału zagranicznego, 24,5 kapitału krajowego i 34,0 kapitału mieszanego. Fakty wskazują na nieco inny podział.

ANGLICY PRZODUJĄ

Kapitał rumuński zaangażowany w eksploatacji ropy naftowej nie przekracza w chwili obecnej 10% całokształtu inwestowanych sum, reszta, to znaczy 90%, składa się z kapitału **angielskiego na pierwszem miejscu,** angielsko - holenderskiego na drugiem, francusko - belgijskiego na trzeciem, amerykańskiego na czwartem, włoskiego na piątem, wreszcie innych kapitałów na dalszych miejscach.

Polityczne opary niepozwalają zorjentować się, jakie stanowisko zajmuje kapitał niemiecki, który chytrze konspirując się, wedle opinji „speców“ narynku rumuńskiem zajmuje **jedno z ważniejszych miejsc,** kryjąc się pod szyldem najróżniejszych, ad hoc stworzonych spółek akcyjnych.

SZYLDY...

Faktem jest, że na ponad 30 towarzystw akcyjnych eksploatujących ropę naftową Rumunji, oficjalnie nawet, zaledwie cztery są czysto rumuńskie. Wszystkie inne albo zupełnie otwarcie przyznają się do swego zagranicznego pochodzenia albo też, jak to przyjęło się na całym świecie dają pięć akcyj gospodarzom, aby wzamian za to na szyldzie swem napisać: „rumuńsko-francuskie“ czy „rumuńsko-amerykańskie“... Znamy te „metody“ doskonale z terenu naszego kraju.

...I LUDZIE

— To prawda, że ekspoatacja nafty w naszym kraju należy prawie całkowiecie do zagranicznego kapitału,— przyznaje mi młody i niesłychanie uprzejmy urzędnik rumuńskiego ministrstwa skarbu, — ale doprowadziliśmy do tego, **że 75% personelu zarówno technicznego,** jak i administracyjnego towarzystw naftowych to Rumuni...

Istotnie. Na 380 inżynierów zatrudnionych w eksploatacji i przemyśle naftowym zaledwie 80 jest cudzoziemcami.

NA MIEJSCE FRANCUZÓW

Wspominając o zakonspirowanych kapitałach niemieckich, godzi się zaznaczyć, że wciskają się one na miejsca opróżnione przez kapitał francuski. Francja bowiem w ostatnich czasach zaczęła nagle bagatelizować naftę rumuńską, **kokietując zupełnie wyraźnie... Irak.**

Nietylko zresztą nafta rumuńska przestała interesować przyjaciół-Francuzów. Na łeb na szyję spadł eksport do Francji rumuńskiego zboża. Zamiast brać drzewo z Rumunji, Francja bierze je ostanio z Austrji. Coś się psuje w państwie duńskiem.

NIEWZRUSZONA OPOKA

Od polskiego Pokucia aż prawie po sam Bukareszt ciągnie się ropodajny pas ziemi rumuńskiej, niby cekinami nabijany paluchami wież wiertniczych, oplętany rurociągami, **przyduszony tysiącami i dziesiątkami tysięcy cystern,** zbiorników, a przedeszystkiem najczęstszych ludzkich pragnień.

Setki kilometrów biegną rurociągi do naddunajskiego portu Giurgiu, czy czarno-morskiej Constanzy. Strzegą tych rurociągów pilniej **niż najukochańszych dzieci** amerykańskich miljarderów.

Między opasłemi ulami naftowego portu w Constanzy można z łatwością zabłądzić. Tam też można zrozumieć znacznie szybciej niż po przeczytaniu 100 popularnych artykułów, czem jest cuchnące, płynne złoto — ropa naftowa, na której Rumunja dzisiejsza **opiera się znacznie skuteczniej** niż na najtwardszej opoce i najentuzjastyczniejszych sojuszach, które zresztą i tak najczęściej cuchną ...naftą.

PLOTKI O CZARNOMORSKIEJ PERLE

Zajrzyjmy do Costanzy, o której zawodowi plotkarze lubią mówić, że jest tylko w połowie portem... rumuńskim, druga bowiem połowa należy do... Polski, która z tego wspaniałego portu czarnomorskiego **chciała sobie zrobić zaplecze** na wypadek wojny i ewentualnej blokady Gdyni...

Zostawmy jednak bzdurne plotki, zwłaszcza, że w cudownem słońcu rumuńskiem są one nikłe i bezbarwne.

CONSTANZA

Pustawy dworzec portowy, senne doki i mola, cudowna tafla czarnomorskiej toni, brzuchate cylindry naftowych zbiorników, ulice kipiące orjentalnym egzotyzmem i... dostojny posąg Owidjusza, plecami odwrócony do muzułmańskich meczetów, zapatrzonego w ziemię, jakgdyby w trosce przeogromnej.

Oto Constanza, oczko w głowie dzisiejszej Rumunji. Łączy ją z Bukaresztem **wzorowa linja kolejowa,** po której, przykładem Ameryki czy Wielkiej Brytanji pędzą z błyskawiczną szybkością pociągi złożone z samych tylko restauracyjnych pullmanów.

CZARNOMORSKI LUKSUS

W wygodnym, klubowym fotelu, przy szerokim ekranie okna, korzystając ze wszystkich dobrodziejstw wagonu restauracyjnego, trasa Bukareszt-Constanza kurczy się do śmiesznie małych rozmiarów.

Z Constanzy w prawo i lewo biegną liczne autobusy. Do Carmen Sylvy i Mamai. Dwie reprezentacyjne, wielkie i urocze plaże, wyładowane po brzegi oficerami i efektownemi, naprawdę pięknemi Rumunkami.

Tu jest jednak za oficjalnie, zanadto pachnie Europą. W ciągu paru godzin zobaczyłem wszystko, co warto tu zobaczyć, nie wyłączając licznych, a nielegalnych kantorów trudniących się... **szmuglowaniem Żydów do Palestyny.**

Można to zrobić szybko i niezawodnie. Tylko kosztuje...

A JEDNAK EUROPA

Z Medidje, węzłowej stacji na szlaku Constanza-Bukareszt, odłącza się jedna linja. Wagon motorowy, huczący i sapiąc djabelsko telebie się przez słońcem wyprażoną, **prawie stepową Dobrudżę** aż do Bazarczyku.

Dalej — jeden skok świetnemi autobusami Forda należącemi również do S. F. R. (Rumuńska Kolej Żelazna) i oto Balcic, portowe miasto Dobrudży, gęsto obsiane Turkami, rozrzucone na górach i górkach, zawstydzająco kolorowe, pysznie egzotyczne, **chociaż bez zieleni — piękne,** chociaż chlubiące się czarnomorską zatoką — jeszcze nie skażone sztandartową plażą.

...CHOCIAŻ EGZOTYCZNA

Małe kawiarenki, jeszcze mniejsze kłapouchy leniwie wędrujące po wąskich, krętych uliczkach, domy, jakich próżno szukać gdzieindziej, kraty w oknach widomy ślad haremowych komnat, chude palce minaretów, w święto Ramazanu przystrojone girlandami... **elektrycznych żarówek** i watahy czerniawej, równie rozkosznej jak natarczywej dziatwy z pobliskiej wioski tatarskiej. To Balcic.

Kiedyś był ponoć dobrze prosperującym portem Dobrudży, wyrósł w tych czasach nad samem morzem brzydki budynek spichrza. Dzisiaj — spichrz stoi zapomniany, jeśli idzie o brzydotę zyskał towarzysza — modernistyczny dom artystów, kształtem podobny do dziobu okrętu, w porcie drzemią barki motorowe, któremi co rano nieliczni kuracjusze jeżdżą na plażę w Ecrene

DZIWOLĄGI

W jednym z pensjonatów Balcicu poznałem młodziutką parę rumuńską. Razem mieli niewiele ponad trzydzieści lat. Chłopiec kończył szkołę w Bukareszcie, siostra jego dobiegała ostatnich klas.

Władali świetnie niemieckim, bardzo poprawnie francuskim. Kiedyś prosiłem chłopca aby mi przetłumaczył jakieś życzenie rumuńskiej służącej. Zaczął dziewczynie coś mówić, ale... o dziwo, **chociaż był 100% Rumunem,** służąca widocznie nic nie zrozumiała. Sytuacja nie uległa poprawie nawet wtedy, gdy w sukurs bratu przyszła siostra.

Po długich męczarniach, jakoś dogadali się. Gdy służąca odeszła, rodzeństwo zaczęło mi tłumaczyć, że od najwcześniejszych lat ucza się w niemieckiem gimnazjum, gdzie **coprawda jest godzina rumuńskiego,** ale ponieważ nie mają tego języka w użyciu, bo i w domu... więc po rumuńsku mówili nieomal taksamo jak ja. Dla wytłumaczenia ich, muszę dodać, że mieli matkę wiedenkę.

Zacytowałem ten obrazek, bo nie jest on sporadyczny. W Rumunji nader często można natknąć się na młodzież, która język ojczysty zna conajmniej... powierzchownie.

WSIE SASKIE

Są też w Rumunji całe połacie kraju, gdzie poza policjantem i urzędnikiem na poczcie, tylko jednostki znają jako tako język rumuński.

Są w Siedmiogrodzie całe wsie... saskie, gdzie króluje albo niemiecki albo najczystszy węgierski. Wsie dziwne, bo na ulicę wioskową spoglądają **tylko bramy i ślepe mury,** okna chat wyglądają na sady czy dziedzińce, również drzwi czy schody.

Te chaty saskie, nacechowane prawdziwym dobrobytem, wewnątrz zastraszająco barwne, to prawdziwe kopalnie dla badaczy, pyszne stroje tego ludu, jego zwyczaje, **wszystko to jest tak krańcowo różne,** tak inne niż w Rumunji centralnej, że... aż dziwno się robi, kiedy przecinając ten kraj niezmordowanym Fordem spotyka się rumuńskich policjantów...

ODDECH ROSJI

Język niemiecki króluje również w Banacie, tak zresztą jak język rosyjski w Besarabji, **tej cudownie żyznej połaci Rumunji,** która faluiac łanami zbóż, oglądana z lotu ptaka, przypomina raczej step, od czasu do czasu upstrzony ruinami średniowiecznych zamków, to znów długiemi szeregami dziwacznych, sześcioskrzydłych wiatraków. Śpiewna mowa rosyjska króluje tu prawie niepodzielnie. Bezmała tak, jak z lewej strony kapryśnie wijącego się Dniestru.

SOWIECKIE GAZETY

Przed kioskami gazetowemi Cetatea Alba (mickiewiczowski Akerman) wiszą duże plakaty w języku rumuńskim i rosyjskim reklamujące sowieckie gazety.

Na terenie Besarabji sprzedaje się np. „Izwiestji“ podobno ponad 5,000 egzemplarzy.

Przesiąkają one zresztą, z bardzo silną propagandą komunistyczną do Bukaresztu i do innych zakątków wielkie Rumunji.

Rybacy delty Dunaju gazety sowieckie czytają najchętniej, poza sporą grupą „staroobrzędowców“ w których Rumuni mają **najzacietszych tępicieli komunistycznej propagandy.**

W Dobrudży, przeżartej słonecznemi promieniami, trochę po macoszemu traktowanej, rumuński słyszy się częściej. Przetyka go bułgarski, rzadziej turecki. Ludzie w fezach szkarłatnych, senni, leniwi, ludzie we wzorzystych kostjumach macedońskich. Kobiety w czerni, jak za dawnych czasów i wsie tatarskie czy obozowiska cygańskie. Dziwny kraj. Kraj wielkiej Rumunji , o którym jednakże Bułgarzy nie zapomnieli...

I RESZTA RUMUNJI

W siedmiogrodzkich Karpatach dumnie strzela ku wyzłoconym błękitom wspaniały, ongiś krzyżacki, dzisiaj królewski zamek Bran.

Bran jest chyba najczarowniejszym zakątkiem Rumunji.

Cluj i Brasov, imponujące zagłębienie Rosita Montana, dymiąc kominami hut i walcowni stali, dudniące wagonetkami wyładowanemi węglem, to wszystko wielka, bogata Rumunja, gdzie nie brak i zboża i nafty, winogron i owiec, złota, srebra, soli, węgla, a której mimo to donidca finansowy, Francuz R. Auboin wróżył jaknajczarniejszą przyszłość.

Ta Rumunja, nietylko trzyma się na powierzchni, śmiało imponując pozornie lepiej zagospodarowanym, rządzonym i bogatszym mocarstwom.

Taka przynajmniej wydała mi się z okien wagonów, czy samolotów lub samochodów, w lapidarnym, reporterskim skrócie...

Wł. Popławski.

Tydzień ubiegły

Głośna sprawa pielgrzymki i ślubowania akademików na Jasnej Górze, jakoś nie może rozejść się po kościach. Co i raz wylywają na powierzchnię nowe fakty w niezbyt dodatniem świetle przedstawiające tę, w założeniu swem na najwyższe znanie zasługującą imprezę.

Mimo ognia zaporowego usłużnej prasy partyjnej, akcja rozeźlonych organizatorów pielgrzymki przeciwko tym, którzy sprzeciwili się wysyłaniu depesz hołdowniczych na wspomnianą uroczystość na Jasnej Górze, spala na panewce.

Nic dziwnego, ż w podobnej sytuacji podrażnienie strony atakującej urasta do rozmiarów groteskowej historji uznającej każdą broń, którąby można było, mimo miłości bliźniego, tegoż właśnie bliźniego zabić.

Leży przed nami nr. 131, żywo i ciekawie redagowanego Dziennika Bydgoskiego z dn. 6 czerwca r. b. Na str. 7-ej tegoż pisma znajdujemy obszerny, 3-szpaltowy artykuł zatytułowany: „Echo pielgrzymki akademickiej do Częstochowy". Artykuł ten zdobi reprodukcja listu wystosowanego do gdańskiego komitetu akademickiego pielgrzymki jasnogórskiej przez p. Inżyniera B. Sujkowskiego z Chylonji.

Z artykułu w Dzienniku Bydgoskim dowiadujemy się, że celem „umożliwienia udziału w pielgrzymce niezamożnym studentom, poszczególne komitety akademickie podjęły się zbiórki potrzebnych sum przez akcję rozsprzedaży pocztówek z rotą ślubowania i ryngrafem Matki Boskiej, Patronki Polskiej Młodzieży Akademickiej".

Taką właśnie przesyłkę otrzymało m. in. nadleśnictwo państwowe w Gdyni—Chylonji i kierownik tegoż nadleśnictwa, inż. B. Sujkowski odpowiedział nadawcom co następuje:

> „Załączoną kartę — rotę ślubowania — wracam. Zarazem zwracam Panom uwagę, że Państwo Polskie jest republiką i żadnych królowych nie potrzebuje, że — ja jako obywatel składam ślubowanie posłuszeństwa Państwu Polskiemu, a wzywanie obywateli do ślubowania uległości obcemu Państwu Watykańskiemu uważam za zdradę interesów narodowych. wych.
>
> Z należnym szacunkiem:
> Inż. B. Sujkowski,
> Nadleśniczy państwowy".

Być może, że p. inż. Sujkowski dał się ponieść temperamentowi, rozumiemy go doskonale. Faktem jest, że stanowisko przezeń zajęte, jest nietylko nawskroś uczciwe, ale słuszne i męskie. Boć przecież każdego Polaka chyba niemiło dotknąło to wiernopoddańcze płaszczenie się przed... Watykanem, któremu na przestrzeni wieków Rzeczypospolita zawdzięcza tak mikroskopijnie mało dobrego i tak bezgranicznie wiele złego...

Inż. Sujkowski, bodajże jedyny spośród tych urzędników państwowych, którzy otrzymali powyższe przesyłki, zdecydował się bezkompromisowo załatwić tą nadwyraz przykrą sprawę. Że forma jego listu może budzić pewne zastrzeżenia, to co innego, ale nikt nie może wymagać od człowieka pracy, pilnie baczącego na dobro państwowe... jezuickich stylizacyj. Napisał jak umiał najlepiej, a że napisał odważnie, po żołniersku, nie bawiąc się w żadne faramuszki, tego mu chyba za złe nikt nie weźmie, oczywiście poza Dziennikiem Bydgoskim, który odsądza nieomal inż. Sujkowskiego od czci i wiary.

I jeszcze jedno nasuwa się na myśl w związku z piękną odprawą inż. Sujkowskiego. Czyżby naprawdę organizatorzy pielgrzymki rozporządzali tak minimalnemi funduszami, że dla udostępnienia udziału w pielgrzymce niezamożnej młodzieży, musieli aż uciekać się do zbiórki wśród społeczeństwa? Czy po rewelacjach naszych na temat sum wywożonych rok rocznie do Rzymu, mamy skolei podać kilka cyfr obrazujących jakiemi kapitałami rozporządza Akcja Katolicka, właściwy promotor częstochowskiej imprezy?

Czy godzi się żebrać u społeczeństwa na bilety kolejowe dla stumanionych akademików, wówczas, kiedy całe połaci Polski przemierają głodem i kiedy każdy grosz skierowany na Polesie czy Huculszczyznę jest kroplą kojącego leku na okrutne rany polskiej nędzy?

Czyżby naprawdę?...

... samorządy prowincjonalne miały w swych kasach nadmiar gotówki przewidzianej na propagandę? Bo to od dłuższego czasu na terenie Rzeczypospolitej bezkarnie grasuje „redaktor i wydawca" podejrzanego czasopisma krajoznawczego i do czasopisma tego, drukowanego bodajże w takiej ilości, jaka potrzebna jest na ...egzemplarze dowodowe, zbiera od samorządów ogłoszenia, bądź bzurne artykuły płatne. Pan „redaktor" nazywa się Librach i przed paru dniami ostrzegał przed nim za pośrednictwem „Dziennika Bydgoskiego" gdyński urząd śledczy.

✱

... referent prasowy kina „Bałtyk" p. Hermelin regulował swe zobowiązania czekami firmy, która od szeregu lat ma zamknięte w PKO konto? Jak się na takie metody postępowania zapatruje dyrektor wspomnianego kina, no i związek właścicieli kino-teatrów stołecznych?

✱

... „redaktor" jednego z arcy-antysemickich „organów", mocno ucharakteryzowany na Hitlera, został oskarżony przez kolporterkę tegoż „organu" o... kradzież rękawiczek przez zapomnienie zostawionych w lokalu „redakcji"?

✱

... jeden z dziennikarzy żydowskich, który przybył w celach sprawozdawczych do Mińska, podczas pamiętnych rozruchów antiżydowskich w tem miasteczku, został zatrzymany przez patrol policyjny? Nie pomogła legitymacja dziennikarska, patrol odprowadzał dziennikarza do komendy powiatowej. Gdy policjanci z aresztowanym przechodzili obok stojącego na ulicy w grupie żydów sen. Schorra, dziennikarz krzyknął do spółwyznawców: „Żydzi, ratujcie!" Na skutek interwencji sen. rabina Schorra dziennikarza zwolniono, przepraszając za nieporozumienie.

✱

...między dwoma muzykami, którzy przez dłuższy czas w „jednym grali domku", a następnie rozstali się aby na własne konto prowadzić kolekturę i dancing, doszło do poważniejszej scysji, która nie jest ponoć pozbawiona momentów humorystycznych? Jeśli tak jest w rzeczywistości, postaramy się w najbliższej przyszłości zrelacjonować naszym Czytelnikom perypetje nierozłącznych do niedawna przyjaciół.

FRASZKI

NA ROZPADNIĘCIE SIĘ DZIEŁA PUŁK. SŁAWKA

Tak to panie Walery dzieje się niestety,
Gdy za małe — walory, za wielkie — walety!

NA P(aństw.) U(rząd) K(ontroli) U(bezpieczeń)

Puku, puku, puku, puku —
Mało skutku, dużo huku.

NA MINISTERSTWO PROPAGANDY

Nic nie wyjdzie z propagandy,
Jeśli będą — grandy bandy.

O. Set.

✱

O PEWNYCH SZPILKACH

Dość długo nie wierzyłem, zachodziłem w głowę
I myślałem poprostu, że mnie ktoś nabiera,
Że Szpilki nie z żelaza są, lecz — papierowe
I że cała Warszawa się nimi — podciera.

Włod.

Jeśli jesteś przyjacielem „WIEM WSZYSTKO"— staraj się zjednać mu prenumeratorów

KRES WĘDRÓWKI „REDAKTORA"

Policja warszawska aresztowała świeżo nowego „redaktora". Tym razem przyszła kolej na pana Mendla vel Mieczysława Zylbermana, którego „dziennikarska" karjera doprowadziła wreszcie do zwykłego dla tych typów kresu wędrówki w zaciszu więzienia.

Zylberman przyjechał do Warszawy z Paryża. Nie znaczy to, ażeby był paryżaninem, bo do Paryża wyjechał przed dwoma laty właśnie z Warszawy. Wystarczy jednak ten okres czasu, ażeby p. Mendel nosił się po „europejsku", prezentował się w wytwornym płaszczu, angielskim meloniku, choć z mniej angielską twarzą.

Pan Mndel w Paryżu trafił na grunt dziennikarski. Tutaj odkrył u siebie nowy talent i przystąpił do wydawania tygodnika sportowego dla emigracji polskiej. Tygodnik ten wychodził dość krótko i pan Zylberman musiał go zlikwidować, a jednocześnie zmuszony został do zlikwidowania swego pobytu nad Sekwaną. Oto bowiem zaitereśowała się nim bliżej urocza paryżanka o międzynarodowym imieniu... policja. Pan Zylbeman ponaciągał w krótkim czasie tyle osób i firm, że dalsza egzystencja w Paryżu stawała się z każdym dniem niebezpieczniejsza.

Wtedy pan Mendel zjawił się w Warszawie. Nie zamierzał porzucić tak prędko nowego zawodu. Po bezskutecznych staraniach uzyskania posady w szeregu pism codziennych, p. Zylberman w gronie jeszcze kilku aferzystów zakłada tym razem w Warszawie tygodnik sportowy. Współpracownikami tygodnika zostaje szereg karanych kryminalistów, bohaterów afery wyścigowej pan Ukrainczyk, znany szuler L. i wielu innych „dziennikarzy" spod ciemnej gwiazdy, którzy znajdują nareszcie nowy warsztat pracy. Tygodnik ten opiera się o wydawnictwo codzienne, mające pecha do pracowników przeważnie z sfer o dość wątpliwej konduity.

Pan „redaktor" Zylberman zaczyna prowadzić hulaszczy tryb życia. Pieniądze topnieją. Topnieją kapitały zdobyte od nieślubnego ojca S. i na różnych ciemnych kombinacjach. Wreszcie przychodzi załamanie. Zylberman zostaje wysiudany z tygodnika sportowego — zostaje redaktorem bez redakcji.

Wtedy Zylberman postanawia chwilowo porzucić swój zawód dziennikarski, Mendel bierze się za bardziej odpowiednie zajęcie — szulerkę. Wchodzi w kontakt ze swoim byłym współpracownikiem L., naganiaczem meliny szulerskiej. Tajmnicy swojej jednak Zylberman nie zdradza przed swoją znajomą panią Bronisławą Kaliską. Jej opowiada, że dalej jest naczelnym redaktorem i na to konto wyłudza pieniądze i weksle, obiecując dumnie swoisty zarobek serca. Kiedy pani Kaliska wreszcie odmawia wydania dalszych weksli— Zylberman wpada na pomysł podpisywania ich jej nazwiskiem, ale bez jej pomocy.

Są to jednak spekulacje na krótką metę. Pani Kaliska dowiaduje się o wekslach których nie podpisywała i wtedy kładzie swój podpis już nie pod wekslem, ale pod zameldowaniem do urzędu śledczego. Pan Zylberman siedzi obecnie w kryminale.

R. O.

Tancerz?

Nie, poprostu łobuziak

Na terenie stolicy pojawiła się ponownie znana ongiś artystka p. Bruczówna, która z niezwykle szerokim gestem angażuje najróżniejszych artystów na występy w Stanach Zjednoczonych. Zainteresowanie p. Bruczówny skierowały się również w stronę baletu. M. in. artystka zaczęła pertraktować z tancerzem baletowym Jakubowskim, zanim jednak zdecydowała się zaangażować go, celem zasięgnięcia bliższych informacji o zdolnościach artysty, zwróciła się do jego wychowawcy i nauczyciela, znakomitego baletmistrza Piotra Zajlicha z prośbą o wyrażenie swej opinji.

Jak łatwo było przewidzie, Zajlich wydał o Jakubowskim opinję ujemną, co tak rozdrażniło tancerza, że napadł na swego nauczyciela w cukierni Loursa, usiłując go znieważyć czynnie. Obecni w czasie zajścia przyjaciele Zajlicha dali ordynarnemu napastnikowi należytą odprawę.

Notujemy powyższe jako klasyczny przykład niewiarygodnego zdziczenia obyczajów. Niesposób bowiem inaczej nazwać podobnie łobuzerskiego wystąpienia niepoczytalnego osobnika wobec starszego człowieka, który z tegoż osobnika bezskutecznie usiłował zrobić... dobrego tancerza.

(p)

Czy takie postępowanie nie rodzi rumieńca wstydu na obliczach księży prałatów, kanoników czy arcybiskupów, których dziełem była głośna już dzisiaj w całej Polsce i bardzo różnorako interpretowana pielgrzymka częstochowska.

Na szczęście znalazł się ktoś, szary człowiek, który nielękając się gromów oburzenia z czarnego obozu, śmiało i po męsku powiedział co myśli o podobnych metodach. Obyśmy w ręcej mieli takich Polaków.

Ignis.

Dokąd warto, dokąd nie...

Teatr — Rewja — Kino

„Kto ostatni całuje?“ (Kino „Apollo“). — Film austrjacki, wyświetlany w „Apollo“ w okropnych warunkach technicznych (nędzna kopja, fatalna projekcja), zasługiwałby na nieco lepsze potraktowanie. Nie jest wprawdzie wstrząsającem arcydziełem, ale zato odznacza się typowo wiedeńską lekkością, zgrabnym scenarjuszem komedjowym, kulturalną reżyserją i finazyjną grą aktorów.

Treść obfituje w szereg przezabawnych qui - pro - quo, doskonale uwypuklonych przez reżysera E. W. Emo, któremu zadanie ułatwili tacy świetni aktorzy komedjowi, jak Hans Moser, (który tym razem wyjątkowo mało szarżuje), świetny jak zawsze Theo Lingen, a przedwszystkiem niezrównany w swoim subtelnym komiźmie Heinz Rühmann. Obok nich mało mają do powiedzenia Liane Haid (gdzież się podziała dawna Liana Haid z „Lukrecji Borgii“ i „Lady Hamilton“?!) jakiś ładny plener, jakiś rozległy krajobraz. oraz drewniany i nieco już podstarzały Iwan Petrowicz. Natomiast doskonale zapowiada się nowa gwiazdeczka Susi Lanner.

Słabą stroną komedji, rozgrywającej się przy dźwiękach miłej muzyki Roberta Stolza, jest zbytnia jej teatralność. Przydałby się tu Ale trudno, nie wymagamy zbyt wiele.

Amatorzy beztroskiej rozrywki mogą się wybrać na film „Kto ostatni całuje“, o ile przygotują się na przetrzymanie niedogodności technicznych projekcji, a szczególnie kopji.

X 27. —

Jaracz w teatrach peryferyjnych!

Jak się w ostatniej chwili dowiadujemy, wbrew lansowanym pogłoskom, dyrekcja teatrów peryferyjnych ma być powierzona nie p. Aleksandrowi Zelwerowiczowi, a znakomitemu artyście Sceny Polskiej, długoletniemu samodzielnemu dyrektorowi własnego teatru — Stefanowi Jaraczowi.

Łączka kretynów

Towarzystwo naftowe „Małopolska“, w którem stanowisko jednego z dyrektorów „interwencyjnych“ zajmuje sławny pan poseł Kozicki (poświęciliśmy jemu sporo miejsca w nr. 8 „W. W.“), **bynajmniej nie gardzi reklamą.**

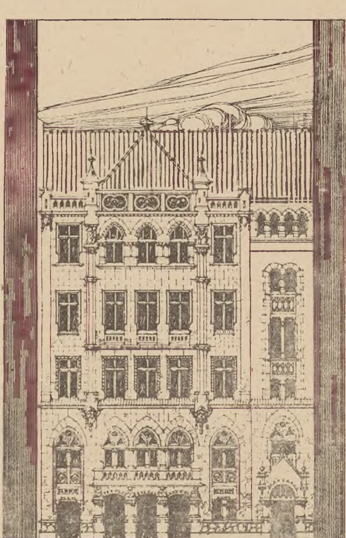
Po sławetnem wystąpieniu p. Kozickiego w Sejmie, było długo, długo nic i oto nagle w „Kurjerze Polskim“ ,sprawnie redagowanym przz „lewjatańczyków“ znajdujemy w nr. 155 z dn. 6 b. m. okazały artykulas zatytułowany: **„Święto koncernu „Małopolska“ w Żegiestowie“.**

Artykulas ten został spłodzony przez „specjalnego wysłannika „Kurjera Polskiego“ p. X., który najprawdopodobniej musiał dobrze sobie „podchromolić“ na małopolskim jublu, bowiem z akwizytorską sumiennością opisując wszystkie, **problematyczne cudenka domu wypoczynkowego** pracowników umysłowych koncernu „Małopolska“, nazwanego na cześć naczelnego dyrektora tej sympatycznej firmy p. Wiktora Hłasko — właśnie „Wiktorem“, specjalnie dużo miejsca poświęca sprawom toastowo - kulinarnym. Niemamy najmniejszego zamiaru buntować np. starosty nowosądeckiego pana dr. Łacha, ale stwierdzenie przez „specjalnego wysłannika „Kurjera Polskiego“, że „starosta okazał się doskonałym mówcą“, **brzmi prawie jak obelga,** a znów życzenia pana starosty, aby pensjonarjusze „Wiktora“ czuli się w tym domu, jak: „u najmilszej kochanki“, w ustach wyższego urzędnika administracji państwowej brzmi nieco dziwacznie, aczkolwiek nie jest pozbawione alkowianej słuszności.

Po szeregu innych, tym podobnych wynurzeń „recezent“ „Kurjera Polskiego“ kończy to, najprawdopodobniej sucie opłacone sprawozdanie, lakonicznym zwrotem, że: „W miłym nastroju kończyła się uroczystość“. Czyli, panie X. **trzeba było pana trzymać za głowę....** Jednakże żart na stronę, czy dziennik, który słusznie czy niesłusznie pretenduje do miana organu gospodarczego nie wstydzi się drukować podobne bzdury?

Stary Pies.

Takiego, imponującego gmachu

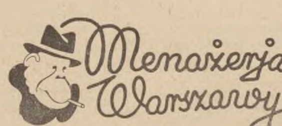


spółwłaścicielką jest osławiona „ciocia“ Frajndla Tennenbaumowa, która będąc jednocześnie współwłaścicielką mieszczącego się w tymże gmachu „Casino de Paris“, od szeregu lat okrada Skarb Państwa nie płacąc podatków (patrz nr . nr. 19 i 20 „W. W.“).

Pan Tunis nie winien!

Omawiając w poprzednim numerze „W. W.“ niewłaściwą formę reklamowania filmu „Księżna Czardaszka“, gdzie pominięto milczeniem nazwisko kompozytora tej sławnej operetki E. Kalmana, niesłusznie zaatakowaliśmy dyrektora „Warszawskiej“ p. Tunisa. Jak się bowiem okazuje w całym materjale reklamowym „Warszawskiej“ nazwisko Kalmana jest wymienione, skreśliła je natomiast, z przyczyn nam nieznanych, dyrekcja kina „Hollywood“, która też wyłącznie ponosi odpowiedzialność za ten mocno niewłaściwy krok.

(p.).



Ma w swym dorobku liczne, szacunek wzbudzające tytuły naukowe, jest profesorem wyższej uczelni, człowiek niewątpliwie wartościowym i nic nie upoważniałoby nikogo do wkradania się za kulisy jego... życia gdyby nie makabryczne zboczenie, które każe mu zwabiać do swego mieszkania młode dz ewczęta, zwykle pod pretekstem zaofiarowania posady swej sekretarki.

Ofiara, która zdecydowała się, w pogoni za chlebem przekroczyć próg jego mieszkania, staje się w rękach zwyrodnialca bezwolnem narzędziem i spólpartnerką koszmarnych orgji, podczas których profesor przystrojony w dziwaczny kostjum, z harapem w dłoni ugania się za swą ofiarą, biczując ją bez wytchnienia. Ponury to obraz. Tem bardziej ponury, że bohaterem tych orgji jest człowiek stojący na najwyższym poziomie intelektualnym, człowiek godny, na odcinku swej pracy naukowej, najwyższego uznania, a mimo to wszystko — biedny strzęp ludzki, potworek dla którego właściwie brak jakichkolwiek spółtowarzyszy w naszej menażerji.

*

Cieszy się opinją znanego i doskonałego lekarza. Jest ordynatorem dużego szpitala, a jednocześnie wyznawcą dość dziwacznej teorji, że wszelkie cierpienia bliźnich pochodzą stego, że się... urodzili. Tego rodzaju teorja znakomicie rozwiązuje mu ręce, kreując go na postępowego lekarza, który przychodzi z pomocą nieszczęśliwym kobietom.

I oto, za stosunkowo niewielką opłatę (30 do 60 zł.) podejmuje się odpowiedzialnej misji zawracania „ad patres“ niefortunnych obywateli. Nie byłoby oczywiście w tem nic złego, gdyby nie fakt, że pan doktór zrobił sobie stej, pozornie humanitarnej akcji, proceder. Zwykły, na masową produkcję obliczony proceder, który zabezpieczył w ten sposób, że każda pacjentka musi, wespół z asystentką lekarza podpisać się na deklaracji stwierdzającej, że „beznadziejny stan chorej“ skłonił lekarza do wykonania zabiegu. Trochę to cuchnie, panie doktorze. Cuchnie hieną...

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9, — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr. nadesłane 1 zł., Komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Królewska Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-66 czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 10-ej do 13-ej Konto w P. K. O. Nr. 15.581

Redaktor i Wydawca: Włodzimierz Popławski

Druk. Nowoświecka, Warszawa, Nowy Świat 57, tel. 2-72-16.